

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

Nr 05 (174) Maj 2019



Krakowianie w Europie: Róża Thun, Mieroszewski i Retinger

Kultura: Bartosz Szydłowski i Łaźnia Nowa

Janusz Szydłowski i Variété

Ewa Lipska z Silesiusem



9 771733 045903 05

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

MOCAK
140 LAT

Akademia Sztuk Pięknych
im. Jana Matejki w Krakowie
200-lecie
1818–2018

C Z A R N O N A
B I A Ł Y M
I N B L A C K
A N D W H I T E

200

LAT RYSUNKU
W KRAKOWSKIEJ
AKADEMII SZTUK
PIĘKNYCH

YEARS OF DRAWING
AT THE ACADEMY
OF FINE ARTS IN
K R A K O W

WYSTAWA
EXHIBITION

26.04.2019

29.09.2019

M u z e u m
N a r o d o w e
w K r a k o w i e

The National Museum in Krakow
Gmach Główny | Main Building
al. 3 maja 1 mnk.pl



Krzysztof M. Bednarski, *Czytanie kapitału*, 2014, Kolekcja MOCAK-u, fot. R. Sosin

Wolność: Kocham i rozumiem?

MUZEUM
SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
W KRAKOWIE
MOCAK

Tekst: Jerzy Surdykowski Zdjęcie autora: Jagoda Szczurowska-Surdykowska

Po co znak zapytania? Nie po to zrobiła karierę piosenka zespołu Chłopcy z Placu Broni *Kocham wolność*. Nie po to śpiewano ją pod gmachami sądów, aby teraz kwestionować naszą uliczną odę do wolności. Przecież nie ma piękniejszego słowa niż ono! Ale też nie ma straszniejszych rzeczy niż te, które wyprawiano w imię wolności.

„Arbeit macht frei” – wypisano na bramie obozu w Auschwitz. „Za wolność, za Stalina!” – krzykliwi czerwonoarmiści, ruszając do ataku, a wywożeni do łagru nieszczęśnicy nuczili w wagonach towarowych słowa sławiącej Związek Sowiecki pieśni: „Ja drugiej takiej strony nie znam, gdzie tak wolno dyszyt ciepłówek”. W imię „wolności, równości i braterstwa” po rewolucji francuskiej – zwanej wiadomo dlaczego „wielką” – gilotyna ścinała głowy ze sprawnością nieznaną w czasach „niewoli”. O wolności gardłowali zarów-

no zbuntowani studenci zachodnioeuropejscy, jak i azjatyccy siepacze Pol Pot. W klasycznej i tak dziś ciepło wspomianej demokracji ateńskiej wolność nie dotyczyła niewolników, wieśniaków i kobiet, tylko pełnoprawnych obywateli. Dla polskiej szlachty oznaczała prawną obywatelską, ale też wolność gnębienia poddanego chłopca. Dla szacownych postaci rewolucji amerykańskiej (ta już bardziej sprawiedliwie mogłaby nosić przydomek „wielka”) jak Waszyngton i Jefferson wolność nie kłóciła się z niewolnictwem. W znanej bajce



Mecenas Muzeum Narodowego w Krakowie
Patron of the National Museum in Krakow



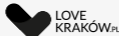
Partner Strategiczny Muzeum Narodowego w Krakowie
Strategic Partner of the National Museum in Krakow



Partner wystawy
Partner of the Exhibition



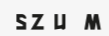
Patroni medialni
Media partners



Local Life



Kultura



RADIO
KRAKÓW



TV P3
KRAKÓW

Mickiewicza wolny, lecz głodny wilk już chce zostać psem w zamian za ciepłą budę i miskę strawy, lecz dostrzega ślad obroży na psiej szyi i w imię wolności ucieka do lasu.

Lot nad kukułczym gniazdem

Kiedy barwny ptak wolności wyfrunął z krępującej go klatki? Wszak nawet w raju wolność była nie do pomyślenia, panował leniwy dobrostan. Adam z Ewą nie mieli ograniczeń, ale tylko w obrębie tego, co słuszne. Drapieżniki były tam bezzębne, gady niejadowite. Wiedzieli wprawdzie, że nie wolno im spożywać owoców z jednego, jedynego drzewa, ale nie rozumieli dlaczego, bo byli pozbawieni świadomości dobra i zła. Podobnie krowa

Najstraszniejszą ceną, jaką prarodzice zapłacili za nagle uzyskaną wolność, była niepewność wyboru. Odtąd ludzie bezustannie muszą wybierać niczym Bóg, nie posiadając jednak ani boskiej siły, ani boskiej mądrości.

na pastwisku nie wie, że nie wolno żreć trawy z cudzej łąki i nie pojmuje przyczyn zakazu; przed wejściem w szkodę powstrzyma ją płot albo bat pastucha. Rajskie bytowanie jest bowiem życiem zwierzęcym, cóż z tego, że w dobrze urządzonym zoologu? Dlatego istota rozumna wcześniej czy później zbuntuje się przeciw takiemu zamknięciu, choć jeszcze nie wie, że wolność znajduje się poza jego granicami. Pierwszym człowiekiem na tej wielkiej i strasznej drodze była Ewa, która pociągnęła za sobą tchórzliwego Adama. Została ukarana, ale najdotkliwiej nie dlatego, że musiała pracować, „w bólach rodzić” i na koniec umrzeć. Najstraszniejszą ceną, jaką prarodzice zapłacili za nagle uzyskaną wolność, była niepewność wyboru. Odtąd ludzie bezustannie muszą wybierać niczym Bóg, nie posiadając jednak ani boskiej siły, ani boskiej mądrości. Biblijna opowieść o wygnaniu z raju jest bowiem gorzką i straszną legendą o istocie ludzkiej wolności.

Słabi i niepewni, ulegający popędom i skłonni do zaniechania, żeglujemy jednak w swych podobnych do łupiny orzecha łódceczkach przez burzliwe fale bytu, nieraz toniemy i rozpaczliwie czepiamy się burt, nieraz gdzieś dopływamy, nie wiedząc, czy to Wyspy Szczęśliwe czy tylko wybrzeże piratów albo ludożerców? Przeklinamy swój los, marzymy o utraconym raju i lekkomyślnie porzuconej zwierzęcości, wszczynamy wojny i rewolucje, ale powrotu już nie ma, wciąż musimy błędzić i wybierać, bo zapragnęliśmy boskiej wiedzy, nie mając boskiej mocy. Tak rozumiana wolność jest dramatem, a czasem tragedią, nic więc dziwnego, że mądry ksiądz

Tischner pisał o „przeklętym darze wolności”, a nieco wcześniej Erich Fromm o „ucieczce od wolności”.

Kiedy narodziła się wolność w dzisiejszym rozumieniu? „Rzadka to szczęśliwość czasu, gdy wolno myśleć, co chcesz, i mówić, co myślisz” – pisał Tacyt jeszcze w starożytności. Na pewno nie w średniowieczu, kiedy – podobnie jak w raju, choć surowy byt daleki był od rajskiego – każdy znał swoje miejsce w feudalnej hierarchii, a marzenie o zmianie było bluźnierstwem. Może już trochę w renesansie wraz rozpowszechnieniem „herezji” i postawieniem na porządku dnia wolności wyznania? Może wraz rozepchnięciem się w ówczesnym społeczeństwie nowych i prężnych klas jak kupieckie mieszczaństwo na Zachodzie, a szlachta w polsko-litewskiej Rzeczypospolitej? A może raczej wraz z bogaceniem się miast i przewagą miejskiego życia nad sielskim? „Powietrze miasta czyni wolnym” – jak powiada przysłowie niemieckie, ale tym samym zwiastuje kres eksperymentu demokratycznego I Rzeczypospolitej, gdzie miasta były słabe.

Europejskie monarchie XVII czy nawet XIX wieku coraz mocniej ograniczone przez domagające się swoich praw nowe grupy społeczne były jednak tylko pół-despotami, gdzie w każdej chwili władca – jeśli zebrał więcej sił – mógł cofnąć koncesje. Dopiero równowaga trzech władz – wykonawczej, ustawodawczej i sędziowskiej – wzajemnie się kontrolujących ustabilizowała dzisiejszy liberalny model państwa, w którym wolność jest oczywistością i nie trzeba o nią walczyć. Łączymy go z Monteskiuszem, filozofem i publicystą doby rewolucji francuskiej. Ale w polsko-litewskiej Rzeczypospolitej wytworzył się w wyniku długiego procesu reform na dwa stulecia przed Monteskiuszem, choć nikt go jeszcze tak nie nazywał.

I dziewczyna młoda...

Ale można inaczej: „Niech żyje wolność, wolność i swoboda, niech żyje zabawa i dziewczyna młoda!” – afirmuje piosenka disco polo. Jestem wolny, bo robię, co chcę. Państwo jest wolne, bo nie podlega silniejszemu mocarstwu. Wszystko to prawda; Korea Północna wygrażając światu bronią atomową, jest wolna od czegokolwiek. Obecni władcy Polski niszcząc niezawisłe sądownictwo, korzystają – jak twierdzą – z wolności i suwerenności. Hitler i wielu innych dyktatorów także byli wybrani demokratycznie. Jeśli w imię swojej wolności – bo przecież robię, co zechcę – nastawię na cały regulator moją ulubioną muzykę albo wypuszczę ścieki na posesję sąsiada, to kimże jestem: egzekutorem wolności czy tylko agresorem?

O sens wolności spierają się filozofowie nie mniej zaciekle niż ateista z moherem. Wedle jednych wolność to brak zewnętrznej presji wymuszającej określone zachowania,

a więc wolność od nacisku władzy, od cenzury, od wrogiego otoczenia. Na to oburzają się inni, bo nic nam z takiej wolności, kiedy brak środków, aby z niej korzystać. Po co ci wolność od przypisania do ziemi, kiedy nie masz za co podróżować? Po co ci wolność od cenzury, kiedy nie czytasz książek i nie bywasz w teatrze? Po co ci wolne sądy, kiedy nie stać cię na adwokata? Dlatego obok wolności „od” nie mniej ważna jest wolność „do”. Do wygodnego mieszkanka, do wykształcenia, do podróżowania, do korzystania z kultury i tak dalej. Tę pierwszą zapewnia demokratyczne państwo. Ale ta druga już kosztuje; obietnica wolności jest pustą gadaniną dla biedaka, który głowi się, jak przetrwać z rodziną kolejny miesiąc.

Dlatego myśląc o wolności, trzeba brać pod uwagę jej cenę i tak spojrzeć na 500 plus i inne transfery pieniężne. Są one skuteczną próbą przekupienia uboższej części elektoratu, ale też ogromnie powiększyły obszar wolności. Na przykład wolności kiepsko zarabiającej rodziny z dwójkiem lub trojgiem dzieci, która przedtem pragnęła tylko doczekać do pierwszego, a teraz otworzyły się przed nią jakieś możliwości wyboru. Dobrze by było, aby ci, którzy wołają Chłopców z Placu Broni od disco polo, w wyborczym roku przemyśleli również ten aspekt rzeczywistości.

Trud istnienia

Nie ma nieograniczonej wolności – zgodzą się wszyscy. Człowiek nie żyje w próżni, wolne państwa mają równie wolnych sąsiadów. „Granicy wolności jest odległość dzieląca twoją pięść od nosa bliźniego” – trafnie rzekł stojącemu przed trybunałem gagatkowi pewien XIX-wieczny sędzia, co do dziś jest cytowane jako jedna ze zgrabnych definicji. Czy granicę wolności wyznaczają tylko przepisy obowiązującego prawa? Ale jakie ma być to prawo: ludzkie, boskie, międzynarodowe? Czy tylko ono wystarczy? „Czego prawem nie zakazuje, tego wstydy zabrania” – napisał Seneka jeszcze w starożytnym Rzymie. I tu chyba jesteśmy w sednie tego najszlachetniejszego rozumienia wolności, jakie ukształtowało się w naszej cywilizacji wywodzącej się z Grecji, Rzymu i Jerozolimy. Cywilizacja ludzkiej godności odwołuje się tylko do odpowiedzialności i sumienia równych sobie osób. „Wszystko mi wolno, ale nie wszystko jest pożyteczne. Wszystko mi wolno, lecz ja nie dam się niczym zniewolić” – pisze św. Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian. Godność osoby jako dziecka bożego odkryło i ochrzciło chrześcijaństwo, ale zaraz przeraziło się konsekwencji, tropiąc i karząc wolną myśl, ustanawiając inkwizycję. Trzeba było europejskiego oświecenia, aby doprowadzić to myślenie do prawnych i ustrojowych skutków.

Ale może pójść jeszcze dalej wytyczoną wtedy ścieżką? Tak obok wolności pojawiła się równość. Racja: ludzie, aby być wolni, po-

winni mieć jednakowe szanse w wyścigu, jakim jest życie. Ale nie są równi; są mądrzejsi i głębsi, etyczni i złodzieje... I tak dalej. Jeżeli postawimy równość przed wolnością, albo przynajmniej obok, to szybko okaże się, że to, co opowiada dureń jest równoważne poglądom mędrca. Okaże się, że nie ma elit, nie ma na kim się wzorować, nie ma pionu, jest tylko nudna równina. „Dawniej spadano i wznoszono się pionowo. Obecnie spada się poziomo” – napisał Tadeusz Różewicz. Nie ma nawet prawdy, bo każda prawda i prawdeczka jest tyle samo warta, podobnie jak w internecie.

Zabójcza jest tak rozumiana równość, ale nikt nie chce o tym wiedzieć. Zwłaszcza po-

Wedle jednych wolność to brak zewnętrznej presji wymuszającej określone zachowania. Na to oburzają się inni, bo nic nam z takiej wolności, kiedy brak środków, aby z niej korzystać.

litycy obojętnie jakiej partii, bo wygodniejszy jest bezmyślny elektorat od wymagającego obywatela. Człowiek wolny, lecz przeciętny – jeśli nie będzie zapatrzony w nielicznych, lepszych i mądrzejszych od siebie – to ulegnie „despotacji demokratycznej”, która go utuli, nakarmi, popieści i powie mu, że jest najważniejszy. Taki człowiek z radością odda głos na szalbierza wyposażonego w czarodziejski flet szczurołapa ze złowrogiej bajki. Teraz ta stara baśń ziszcza się na naszych oczach.

Dopiero po wygnaniu z raju człowiek z przerażeniem odkrywa, że nie ma innego wyjścia, jak podjęcie trudu istnienia. Dlatego tak pragnie się wymigać. Mickiewiczowska bajka w tej wersji powinna kończyć się dobrowolnym nałożeniem psiej obroży na wilczą szyję.



Jerzy Surdykowski – rocznik 1939, publicysta, pisarz, dyplomata, działacz opozycji demokratycznej w PRL, wykładowca dziennikarstwa na UJ. Od końca lat 60. związany z dziennikarstwem – tu m.in. „Perspektywy”, „Życie Gospodar-

cze”, „Życie Literackie”. W sierpniu 1980 roku uczestniczył w strajku w Stoczni Gdańskiej, gdzie publikował w biuletynie strajkowym, po stanie wojennym objęty zakazem pracy w mediach i pisywał do prasy drugiego obiegu. Po 1989 roku był członkiem redakcji „Tygodnika Solidarność”, „Rzeczypospolitej” i „Wprost”, a następnie konsulem generalnym w Nowym Jorku oraz ambasadorem w Tajlandii. Autor wielu książek.

**TEMAT MIESIĄCA:
MUZYKA FILMOWA****Na ścieżce dźwiękowej** Krzysztof Siwoń **s.12**

Zbigniew Preisner, Jan A. P. Kaczmarek, Abel Korzeniowski czy Bartosz Chajdecki – to nazwiska kilku tylko kompozytorów muzyki filmowej związanych z Krakowem, którzy zrobili ogromną, światową wręcz, karierę. A jeśli dodać, że to w Krakowie od kilku lat trwa odbywa się bardzo popularny Festiwal Muzyki Filmowej...

**ESEJ****Wolność: kocham i rozumiem?**Jerzy Surdykowski **s. 1****Koń i królowa, czyli monidło i śmierć**Anna Mazela **s. 26****KRAKÓW MÓWI****Europa przy jedzeniu żuru**– z Różą Thun/Jacek Balcewicz **s. 20****Łaźnia Nowa: laboratorium współuczestnictwa**– z Małgorzatą i Bartoszem Szydłowskimi/Jakub Wydrzyński **s. 29****Szlachetne rozrywki Variété**– z Januszem Szydłowskim/Paweł Kopeć **s. 54****LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA****Rekomendacje: wystawa Czas przełomu** **s. 40****Czujny kołtun czy zacny mieszczanin?**Witold Bereś **s. 42****Rekomendacje:****Krakowski Festiwal Filmowy** **s. 51****Rekomendacje: Art Color Ballet** **s. 52****Rekomendacje:****Wiosna Jazzowa w Zakopanem** **s. 53****Kronika kulturalna** **s. 87****Krakowski łącznik** **s. 90****Kraków (Główny)** **s. 91****Linia A–B** **s. 92****OBYWATELE KRAKOWA****Ewa Lipska z Silesiusem** Iga Dzieciuchowicz **s. 8****HISTORIA****FOTO-RETRO** Krzysztof Jakubowski **s. 10****KALENDARIUM KRAKOWSKIE maj 1919**Krzysztof Jakubowski **s. 59****Poczta wyrusza z Krakowa** Ewa Danowska **s. 62****BYŁO, NIE MINĘŁO** Jan Pieszczechowicz **s. 78****TEATR****Wąsate naczynia i pamięć** Paweł Głowacki **s. 66****FILM****Wybieram Kilara i Zanusiego**Maria Malatyńska **s. 74****LITERATURA****Notre Dame** Arkadiusz Stosur **s. 39****Poezja spływa na mnie z gór**– z Adamem Ziemiannym/Elżbieta Wojnarowska **s. 70****Wiersze** Adam Ziemiannin **s. 72****KSIĄŻKI****Rekomendacje:****Grzegorz Stec. Czterdziestolecie** **s. 50****Nasza biblioteka** **s. 84****GALERIA „KRAKOWA”****Grzegorz Stec** Jakub Wydrzyński **s. 48****FELIETON****NA CZERWONYM ŚWIETLE** Ewa Lipska **s. 5****OKIEM BERESIA** Witold Bereś **s. 6****Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI** Krzysztof Burnetko **s. 7****SMOCZE JAJO** Mieczysław Czuma **s. 81****W WARSZAWIE** Magdalena Miśka-Jackowska **s. 82****BEDEKER KRAKOWSKI** Iga Dzieciuchowicz **s. 83****PASY PANY** Jerzy Pilch **s. 96****OKŁADKA****Róża Thun** Fot. M. Lahousse (za zgodą EPPGroup)**Szanowny Panie Redaktorze,**

Senator rządzącej partii powiedział: „Nie ustaniemy, aż nie doprowadzimy do pełnego oczyszczenia Polski z ludzi, którzy nie są godni należeć do naszej wspólnoty narodowej”. I słusznie, naród, zgodnie z aryjskim paragrafem, powinien być czysty rasowo. Prawdziwy Polak, to żarliwy blondyn o prawomyślnych oczach, z krótką, lojalną szyją, a czasem z ortodoksyjnie ogoloną głową. Rasa polska jest biała, zdolna do rozmnażania w warunkach naturalnych. Mowa praworządna, rubaszna, ortodoksyjna, patriotyczna, czasami szczebiotliwa lub świergotliwa. Tu postawiłabym lojalną i wiernopoddańczą kropkę, chociaż, jak twierdzi Stanisław Jerzy Lec: „Bywają kropki, które nie zamykają zdań, ale zamykają usta”.

Z etnicznymi wyrazami szacunku

Ewa L.



Fot. Danuta Węgiel

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Europa. Do napisania

Tekst: Witold Beres

Nie mam problemu z tym, że Unia wycofuje ze sklepów stare żarówki. Wkurza mnie za to, że tak niewielu ma eurowizjonerów. Ale to wszystko błędnie przy jednym: to Unia Europejska gwarantuje od lat kontynentalną stabilność i pokój.

Juliusz Mieroszewski, krakowianin i londyńczyk, jeden z najbardziej przenikliwych Polaków-Europejczyków, pisujący w paryskiej „Kulturze”, jest w polskiej myśli politycznej prekursorem myślenia globalnego. I choć po wielokroć się mylił w prognozach (nie ma się co dziwić – zmarł w roku 1976, gdy komunizm trzymał się mocno), to jego dwie tezy wyprzedziły swój czas.

Pierwsza to deklaracja o konieczności pogodzenia się Polaków z utratą Wilna i Lwowa, o pojednaniu ze wschodnimi sąsiadami, a w konsekwencji walce

Dzisiaj prawdziwe problemy stojące przed Polską, to zostawienie nas sam na sam z zagrożeniami wewnętrznymi i zewnętrznymi. A ze słabą Unią, a już na pewno przy zwycięstwie nad Wisłą sił wzywających do konieczności wstania z kolan, wypadniemy z Zachodu.

o ULB. Bo bez niepodległość Ukrainy, Litwy i Białorusi nie ma co marzyć o niepodległej Polsce.

Ale jest i druga teza. Mówi ona o konieczności wprowadzenia poprzez integrację Europy silnych mechanizmów kontrolnych, pozwalających uniknąć dominacji Niemiec – tu istotnymi elementami równoważącymi musi być Francja i Wielka Brytania.

A Polska? A Polska w każdej Europie jest skazana na status satelity i musi się pożegnać z tradycyjnym rozumieniem suwerenności. „Jeżeli odzyskamy wolność i Rosja wycofa się z Polski – pisał w 1955 roku – nasza armia wejdzie w skład armii europejskiej i podlegać będzie takiemu czy innemu »atlantyckiemu« czy »europejskiemu« dowództwu”. Dodawał, że w Europie Środkowo-Wschodniej idea budowy państw suwerennych w tradycyjnym znaczeniu jest na rękę tylko Moskwie. Kraje te będą bowiem zawsze miały mnóstwo pretensji wobec siebie – a to pozwoli jej utrzymać kontrolę nad tym regionem.

Dziś Wielka Brytania oszalała w swej niekompetencji i kto wie, czy od niej nie zaczyna się dekompozycja europejskiej stabilności, a przez to – zagrożenie dla pokoju. I nie zdziwię się, jeśli czas pokaże udział rosyjskich służb internetowych w destabilizacji Wysp...



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Rozumiem tych, którzy narzekają na brukselską klasę urzędniczą i polityczną. Mam wrażenie, że zdecydowana większość europarlamentarzystów wszystkich opcji to leniwe knury, które walczą o swoje stołki jak o kawałek luksusowego tortu. Że nie rozumieją, iż są nie tylko reprezentantami Polski w Europie, ale i zjednoczonej Europy w Polsce. No i najgorsze – że prawie nikt z nich jakoś się nie wychyla z wizją budowy i poprawiania wspólnej Europy.

A nie o to idzie przecież, że Unia ingeruje w sprawy wewnętrzne swoich członków. To akurat szczęście, bo klasycznej suwerenności dziś nie ma i nie może być, a wobec potęgi skonsolidowanych rynków USA czy Chin podzieleni nic nie znaczymy!

Dzisiaj chodzi o prawdziwe problemy stojące przed Polską, a jest nimi zostawienie nas sam na sam z zagrożeniami wewnętrznymi i zewnętrznymi.

Ze słabą Unią, a już na pewno przy zwycięstwie nad Wisłą sił wzywających do konieczności wstania z kolan, wypadniemy z Zachodu.

I to nie będzie polexit. Bowiem słowo „exit” zakłada podjęcie przez naród decyzji o wyjściu z Unii. To głupia, bo głupia, ale jednak suwerenność. Polsce natomiast przydarzy się polout: po prostu bez naszego udziału wyładujemy w europejskim recydingu, a najpewniej – po prostu nas wykopią.

Powtórzmy. Tak, Unia Europejska ma swoje problemy. Ale trzeba nad jej reformą wspólnie pracować.

Dlatego 26 maja nie siedz w domu, bo ci Europa ucieknie. Władysław Bartoszewski, Marek Edelman, Andrzej Wajda, ksiądz Józef Tischner... – nasi Mistrzowie głosowaliby za Unią.

A nim pójdziecie, poczytajcie nasz miesięcznik. Dziś, poza tematem „Europa” znajdziecie tu mnóstwo krakowskiej kultury. Jak choćby opis dwóch ważnych, choć jakże różnych teatrów, których szefowie noszą to samo nazwisko. I to może kogoś zwięść, ale na pewno nie zniechęci do wizyty w obu tych miejscach, zwłaszcza gdy za pasem Noc Teatrów...

Krakowski ojciec jednej Europy

Tekst: Krzysztof Burnetko

Kraków może uchodzić za europejskie miasto także dlatego, że wychował się w nim człowiek, który powinien być wymieniany wśród Ojców Założycieli zjednoczonej Europy obok Roberta Schumana, Alcide de Gasperiego, Jeana Monneta czy Konrada Adenauera.

Mowa o Józefie Hieronimie Retingerze, który już za życia zyskał reputację szarej eminencji europejskiej polityki. Urodził się (w 1888 roku), właśnie w Krakowie, a potem spędził tu młodość. Mieszkał przy ul. Wiślniej 3, uczył się w Gimnazjum św. Anny, w 1911 roku założył „Miesięcznik Literacki i Artystyczny”, w którym drukował Leśmiana i Kasprowicza, zaś ilustracji dostarczali mu Chełmoński i Weiss.

Prócz pasji literackich był bywalcem towarzyskich salonów i politycznych gabinetów całej ówczesnej Europy. Właśnie w arystokratycznych klubach Paryża i Londynu poznał najwybitniejsze osobistości swoich czasów, między innymi późniejszych premierów Churchilla i Clemenceau.

Wiele z tych koneksji przydało się, kiedy przeżony ofiarami i skalą zniszczeń podczas I wojny światowej zaczął przemyśliwać, jak zapobiegać takim konfliktom. „W roku 1924 nasiąknęłam ideą jedności Europy” – wspominał w pamiętnikach. Zamierzał pozyskać dla niej grupę uznanych intelektualistów (m.in. Benedetto Crocego), by z nimi lobbować wśród polityków. I napisać encyklopedię dowodzącą, że zjednoczenie kontynentu jest jedynym sposobem rozwiązania jego problemów.

Po wrześniu 1939 roku został doradcą premiera Sikorskiego – i poleciał z tajną misją do okupowanej Polski.

Kolejna krwawa wojna wzmogła jego europejską determinację. Sikorskiego namawia do negocjowania z emigracyjnymi przywódcami Czechosłowacji i federacji obu państw. Podczas kolacji z premierami europejskich rządów emigracyjnych gardłuje za zjednoczoną po wojnie Europą. „The Observer” napisze, że to wtedy zrodziła się wspólnota Beneluksu. W 1946 roku zakłada w Brukseli Niezależną Ligę Współpracy Ekonomicznej. Podróżuje po stolicach europejskich i sęczy swoje. W maju 1948 roku ściga do Hagi 800 (!) przedstawicieli 25 krajów Europy (w tym 18 byłych premierów) na dyskusję o szansach przedsięwzięcia. Spotkaniu przewodniczy sam Churchill, ale prócz polityków głos zabierają też intelektualiści: Jules Romain, Étienne Gilson, Raymond Aron. Kongres uchwała rezolucję o wspólnym dziedzictwie cywilizacji europejskiej. Zapowiada powołanie Zgromadzenia Europejskiego, przyjęcie Karty Praw Człowieka i utworzenie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Apeluje do rządów o zniesie-

nie barier handlowych i taryf celnych, a w przyszłości wprowadzenie swobodnego przepływu kapitału i wspólnej waluty. To wtedy kształtów nabiera projekt Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali – oparty na założeniu, że nic skuteczniej nie zapobiega wojnie

W uznaniu zasług w krzewieniu współpracy europejskiej Józef Retinger został w 1958 roku nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla. Był to rodzaj honorowej satysfakcji, bo choć całe życie obracał się wśród wielkich tego świata, to – poza nazwiskiem – niczego się nie dorobił.

niż wspólne interesy potencjalnych przeciwników.

Ale była i inna, nieformalna inicjatywa Retingera. W maju 1954 roku zaprasza do hotelu De Bilderberg w Oosterbeek pod Arnhem 80 reprezentantów wpływowych kręgów Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych: koronowane głowy, prezydentów, szefów dyplomacji, magnatów finansjery. Przy cygarach i winie mają zastanawiać się nad kluczowymi problemami bezpieczeństwa, polityki i gospodarki – oraz szukać ich rozwiązania. Stawką jest jedność demokratycznego Zachodu wobec rozgrywek Moskwy. W ten sposób powstaje nieoficjalne stowarzyszenie zwane Grupą Bilderberg. Retinger zostaje jej sekretarzem. Sesje grupy odbywają się każdego roku – są tyleż elitarne i poufne, co, jak głosi wieść, wpływowe. Niektórzy mówią o rządzie światowym...

W uznaniu zasług w krzewieniu współpracy europejskiej Retinger został w 1958 roku nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla.

Zmarł dwa lata później.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



Ewo – cieszymy się i dziękujemy!

Tekst: Iga Dzieciuchowicz Zdjęcie: Danuta Węgiel

Ile watów mają wiersze Ewy Lipskiej? Wielka poetka i nasza redakcyjna koleżanka – z nagrodą Silesiusa za całokształt pracy twórczej! Gratulacje od całej redakcji „Krakowa”!

– Mniej jestem pewna słów, z których korzystam – mówiła trzy lata temu w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” Ewa Lipska. Zastanawiała się też, jak można sprawdzić jakość wiersza i żałowała, że nie można podpiąć go do prądu, by dowiedzieć się, czy to wiersz czterdziesto-, stu- czy dwustuwatowy. Za to jurorzy Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius nie mają żadnych wątpliwości – słowa Lipskiej mają wielką moc. I pewnie nie wystarczyłoby skali! Poetkę właśnie uhonorowano nagrodą za całokształt twórczości – a odbiera ją 18 maja we Wrocławiu.

Nagroda za całokształt twórczości to nagroda szczególna – otrzymują ją artyści i artystki, o których możemy powiedzieć po prostu: „chapeau bas”. To nagroda dla tych, którzy zawsze są w najlepszej artystycznej formie, nie tkwią w schematach, znakomicie wychwytyjają sedno i potrafią ująć rzeczywistość tak, że odbiorcom cierpnie skóra. Taka jest poezja Lipskiej. Myślę, że wszystkim artystom, którzy otrzymali prestiżowe nagrody za całokształt twórczości, należy się osobna encyklopedia.

Jednak Lipska z rozbijającą szczerością wyznała, że z wiekiem jej pewność siebie jako poetki topnieje, żartowała, że pisanie kobiet jest traktowane z przyzwyczajeniem oka: „Tu sobie gotuje rosołek, tam robi sweterek na drutach, a w międzyczasie pisze sobie wierszyk”. Nagroda w wysokości 100 tysięcy złotych jest jednak jak najbardziej serio – Lipska dołączyła do grona, w którym znaleźli się wcześniej Tadeusz Różewicz, Stanisław Barańczak, Marcin Świetlicki czy Urszula Kozioł. Dostrzeżono niepowtarzalny język jej twórczości, a także celny społeczny krytycyzm i wnikliwą analizę otaczającej rzeczywistości.

Być może tych wątpliwości będzie miała teraz nasza poetka troszkę mniej.

Trudno nie kochać wierszy Lipskiej – pełnych ironii, kolczastych, zostawiających czytelnika z uczuciem niepokoju, samego w centrum „awarii świata”. U Lipskiej jest tyle samo śmierci, co miłości – jej twórczość rozpięta pomiędzy tymi dwoma wielkimi tematami zawsze mocno dotyka tego, co teraz. Czytelnik linii papilarnych czy *Pamięć operacyjna* – choć tytuły tomików Lipskiej brzmią jak pozycje z działu IT, tylko pozornie naśladują wirtualną rzeczywistość. Ważne jest to, czego nie da się zamknąć w programie czy komputerowym kodzie – Lipska przygląda się lękom człowieka i jego pragnieniom bardzo dokładnie i trafia zazwyczaj w czuły punkt, tam, gdzie najbardziej boli i uwiera. Słowa, które tak dobrze znamy, nagle przecinają powietrze jak nóż, „migocze lampka: *boarding time*”. Lipska ma niebywały talent do łączenia skojarzeń i metafor, które niemal wyświetlają się w głowie jak klatki filmowe. To rzadka umiejętność, gdy wiersz jest jednocześnie zbiorem słów i fotografią czy filmowym ujęciem. Lipska po-

trafi spać wierszem różne zmysły, tworząc coś w rodzaju literackiej synestezji – sprawia to czytelnikowi wielką przyjemność i odsyła w rejony, do których zazwyczaj boimy się udać sami. Tutaj Lipska z czułością prowadzi nas za rękę.

Trudno nie kochać wierszy Lipskiej – pełnych ironii, kolczastych, zostawiających czytelnika z uczuciem niepokoju. Jest u niej tyle samo śmierci, co miłości – ale zawsze mocno dotyka tego, co teraz.

*

Wrocławska Nagroda Poetycka Silesius, jedna z najbardziej prestiżowych nagród literackich w Polsce, wręczana jest od 2008 roku. Jej zadaniem jest wyróżnienie najważniejszych dzieł i twórców rodzimej poezji. Fundatorem nagrody jest miasto Wrocław, a jej nazwa pochodzi od śląskiego poety barokowego Angelusa Silesiusa. Od początku istnienia Nagroda fundowana przez miasto Wrocław (statuetka i czek) przyznawana jest w trzech kategoriach: całokształt twórczości (100 tysięcy złotych), książka roku (50 tysięcy) i debiut roku (20 tysięcy).

Organizatorem Nagrody, podobnie jak Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus, od 2018 roku jest Wrocławski Dom Literatury. A od 2016 roku Nagrodzie towarzyszy Międzynarodowy Festiwal Poezji Silesius, którego czwarta edycja odbywa się w dniach 14–19 maja 2019 roku, a gościem honorowym edycji będą Czechi.

*

Ewo! Gratulujemy! I dziękujemy, że z nami jesteś.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Współpracowała z „Didaskalia-mi”, „Notatnikiem Teatralnym”, „Gazetą Wyborczą” i portalem publicystyczno-społecznym Polska Ma Sens. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*. Na co dzień marketingowiec i dziennikarka „Codziennika Feministycznego”.

Miesięcznik „Kraków” jest partnerem medialnym Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius





Plaża ponad dachami

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcie: archiwum NAC

Już na pierwszy rzut oka widać, jak oryginalna to fotografia. Opublikowano ją po raz pierwszy i prawdopodobnie jedyny, w Księdze Pamiątkowej wydanej z okazji jubileuszu 60-lecia Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego, w 1926 roku.

W tle rozciąga się piękna panorama miasta. Od lewej widać wieżę i kopułę kościoła św. Anny, w centrum kadru piętrzą się neogotyckie szczyty Collegium Witkowskiego, po prawej – zza kalenicy dachu Collegium Novum – wygląda wieża Ratuszowa i niższa z wież mariackich. Panorama nie wyjaśnia jednak wszystkiego. Wszelkie wątpliwości rozwiewa dopiero podpis pod fotografią: „Fragment plaży dla kąpielii słonecznych na dachu I Domu Akademickiego”.

Ów dom stanął przy ul. Jabłonowskich 10 w roku 1903, według modernistycznego projektu Józefa Pokutyńskiego. Plac pod budowę przekazał za niewielką kwotę – wykupiwszy go uprzednio od rodziny księżąt Jabłonowskich – Konstanty Wołodkiewicz. Ten znany dobroczyńca podjął się też współfinansowania budowy. Nad całym przedsięwzięciem sprawował pieczę (organizacyjną i finansową) wspomniane Towarzystwo Wzajemnej Pomocy. Dość szybko okazało się jednak, że dom staje się ciasny, toteż Towarzystwo podjęło starania o gminną działkę na terenach pofortecznych, obok parku Jordana, celem budowy II Domu Akademickiego. Działkę zdobyto, jednak plany zniweczył wybuch wojny.

W niepodległej Polsce, po ustabilizowaniu się sytuacji politycznej i gospodarczej, jednak wobec braku perspektyw dla sfinansowania tak poważnej inwestycji, przystąpiono

do planu awaryjnego – nadbudowy gmachu przy ul. Jabłonowskich. Po ukończeniu prac (1925 rok) zyskano 42 pokoje dla studentów głównie na III piętrze. Cofnięte poza gzyms, niewidoczne z ciasnej perspektywy ulicy piętro IV miało mocno zaniżony gabaryt. Niemal równocześnie udało się rozpocząć mozolną budowę II Domu Akademickiego przy al. 3 Maja.

Warto podkreślić, że staraniem Towarzystwa mieściły się tam, obok biblioteki, czytelnicy oraz kuchni, także sklepy spożywcze i tytoniowy, fryzjerna, pralnia, a nawet warsztat szewski. Szczególną atrakcją była jednak tytułowa plaża, czyli wyłożony deskami taras, zamknięty od strony ulicy szczytem IV piętra, a od strony dziedzińca metalową barierą. Taki kształt gmachu przetrwał do przebudowy w latach 70. ubiegłego wieku. Dziś gospodarzem akademika zwanego Bratniakiem jest Uniwersytet Rolniczy.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



Krystyna Janda

z medalem „Za mądrość obywatelską”!

W sobotę 1 czerwca w samo południe w Sali Obrad im. Stanisława Wyspiańskiego Urzędu Miasta Krakowa prezydent profesor Jacek Majchrowski wręczy uroczysto Krystynie Jandzie medal „Za mądrość obywatelską”.

Wśród poprzednich laureatów są między innymi prof. Andrzej Zoll, prof. Ewa Łętowska, prof. Leszek Balcerowicz, red. Jerzy Baczyński, Wiesław Myśliwski, prof. Adam Strzembosz.

Jury Medalu uznało bezdyskusyjnie:

„Za mądrość, która w dzisiejszych czasach jest też odwagą, oraz za niezwykle wzruszenia artystyczne, które dają nam także obywatelską nadzieję”.

Tego samego dnia o godzinie 15.00 w przestrzeniach Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK, ul. Lipowa 4 (Zabłocie), zapraszamy na debatę „Kobiety przynoszą nam wolność” z udziałem Krystyny Jandy, Ewy Lipskiej, kuratorki i kustoszki sztuki Marii Anny Potockiej oraz felietonistki miesięcznika „Kraków” i feministki Igi Dzieciuchowicz.

Wstęp tylko za zaproszeniami dostępnymi w redakcji miesięcznika „Kraków” oraz w MOCAK-u

Zdjęcia: Alicja Rzepa i Jan Zych



Wrzesień 2013, kościół św. Katarzyny, koncert w ramach Festiwalu Muzyki Filmowej. Na wiolonczeli gra własne kompozycje Ernst Reijseger, wokalista senegalski Mola Sylla

Na ścieżce dźwiękowej

Tekst: Krzysztof Siwoń Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Zbigniew Preisner, Jan A.P. Kaczmarek, Abel Korzeniowski czy Bartosz Chajdecki – to nazwiska kilku tylko kompozytorów muzyki filmowej związanych z Krakowem, którzy zrobili ogromną, światową wręcz karierę. A jeśli dodać, że to w Krakowie od kilku lat odbywa się bardzo popularny Festiwal Muzyki Filmowej, to widać, że stąd do muzycznego Hollywood jest coraz bliżej.

Historia muzyki filmowej to historia wielkiej podróży. Podróż, jaką przebyło kino od „niesłyszalnych melodii” klasycznego Hollywoodu do wielkich pokazów filmowych z muzyką na żywo, podczas których wielotysięczna publiczność przeżywa uniesienia spod znaku *epic feeling*, uczucia epickiego spełnienia wpisanego w soczyste i pełne brzmienie wielkiej orkiestry symfonicznej. W ostatnich kilkadziesiąt lat ścieżki dźwiękowe stały się więc nie tylko „słyszalne”, lecz także zyskały wymiar autonomiczny – słucha się ich również poza kontekstem filmu: na koncertach, w samochodzie, na słuchawkach w tramwaju.

Niepokoje końca wieku

Rok 1989 wyznacza w historii polskiego kina nowy rozdział. Wówczas zmieniło się niemal wszystko – od modelu produkcji filmów i ich dystrybuowania, aż po praktyki odbiorcze. System państwowego mecenatu w kształcie znanym do tej pory zniknął niemal z dnia na dzień. Kinematografia z trudem odnalazła się wobec rodzącego się kapitalizmu. U progu lat 90. w kraju mnożą się wypożyczalnie kaset VHS, a jest ich tak wiele, że nieraz łatwiej trafić do osiedlowej wypożyczalni niż do kiosku z warzywami. W prasie filmowej coraz częściej pisze się o postmodernizmie, a wielcy mistrzowie (tacy jak Fellini czy Bergman) mówią o niepokoju końca wieku. Polskie kino staje w obliczu kryzysu, a jednocześnie otwiera się na Zachód bardziej niż kiedykolwiek do tej pory. Wtedy właśnie Krzysztof Kieślowski realizuje swoje najgłośniejsze filmy – w roku 1991 *Podwójne życie Weroniki*, a w ciągu następnych paru lat trylogię *Trzy kolory: Niebieski, Biały* (oba filmy z 1993 roku) oraz *Czerwony* (1994). Wszystkie powstały w koprodukcji z Francją, do wszystkich również muzykę napisał kompozytor-samouk Zbigniew Preisner. Do momentu spotkania z Kieślowskim był on kojarzony ze współpracą z krakowskimi scenami teatralnymi i kabaretowymi. Ten artysta o temperamentie filozofa (studiował historię i filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim) odnalazł, jak się wydaje, w osobie Kieślowskiego bratnią duszę i dopiero w jego filmach rozwinął w pełni swój styl. Tak jak wybitny reżyser opowiadał o egzystencjalnych niepokojach końca wieku za po-

mocą tajemniczych, przesyconych metafizyką obrazów, tak jego kompozytor znajdował kongenialny wyraz tego niepokoju, zapisując go w partyturach swoich utworów w postaci muzycznych znaków zapytania.

Chyba jego najbardziej charakterystyczną kompozycją z tego okresu jest ścieżka dźwię-

Polskie kino staje w obliczu kryzysu, a jednocześnie otwiera się na Zachód bardziej niż kiedykolwiek do tej pory.

kowa do *Podwójnego życia Weroniki*. W jednej z najbardziej przejmujących scen główna bohaterka wykonuje arię z towarzyszeniem mrocznego akompaniamentu smyczków. W tle pobrzmiwają dzwony zapowiadające niejako religijne uniesienie oraz śmierć bohaterki, która za chwilę ma nastąpić. Kilka lat później niektórzy krytycy będą oskarżać Kieślowskiego o „metafizyczny kicz”. Muzyka Preisnera wydobywa ludzki, emocjonalny wymiar metafizyki, ale czy przekracza granicę dobrego smaku? Partia wokalna osiąga zenit, kiedy bohaterka umiera na scenie – to prawda, to mocna, uczuciowa scena. Jednak Preisner dobiera środki tak, aby w tej scenie śmierć miała swój ciężar (dzwony), lecz także niepokojącą lekkość (zaskakująca partia fortepianowa). Co więcej Preisner umieszcza to wszystko w ironicznym cudzysłowie, podpisując główny motyw *Podwójnego życia Weroniki* nazwiskiem fikcyjnego holenderskiego kompozytora końca XVIII wieku – Van Den Budenmayera. Trudno oprzeć się wrażeniu, że Preisner nawiązuje do mieszczańskiego stylu w sztuce europejskiej (Biedermeier) – scena śmierci Weroniki jest także umieszczona w kontekście burżuazyjnej kultury. Jest scena, jest dyrygent (Aleksander Bardini) oraz solistka (Irène Jacob śpiewająca głosem Elżbiety Towarnickiej). Jest także publiczność, która w wieczorowych strojach ogląda teatralną śmierć Weroniki. Kieślowski pokazuje dramat, którego publiczność nie dostrzega. Dramat, który wydarza się gdzieś obok, może w zupełnie innym miejscu Europy, gdzie w tym samym czasie uczucie dojmującej pustki ogarnia Veronique („siostrzana” dusza polskiej Weroniki grana przez tę samą



Maj 2009, 2. Festiwal Muzyki Filmowej, Jan A.P. Kaczmarek



Maj 2017, 10. jubileuszowy Festiwal Muzyki Filmowej. Na zdjęciu Magdalena Miśka-Jackowska, Jan A.P. Kaczmarek, Trevor Morris, Abel Korzeniowski

aktorę). To „obok” można usłyszeć właśnie w muzyce Preisnera.

Tradycja jako wyzwanie

Sukcesy filmów Kieślowskiego (m.in. *Złoty Lew w Wenecji* w 1993 roku za *Niebieski*) oraz muzyki Preisnera (docenionego chociażby w ramach Los Angeles Critics' Awards) to jeden z ostatnich chwalebnych akcentów polskiego kina, które na kilkanaście następnych lat popadło w marazm. Zapanował model kina realistycznego, zaangażowanego społecznie, lecz niezbyt chętnie widzianego przez reżyserów w towarzystwie wyróżniającej się muzyki. Czyżby znów miała obowiązywać stara zasada, że dobra muzyka filmowa to taka, której nie słyszać?

Jednym z niewielu ciekawych przykładów muzyki filmowej z tego okresu jest ścieżka dźwiękowa do *Pornografii* (2003) Jana Jakuba Kolskiego. Kompozycja Zygmunta Koniecznego (urodzonego w Krakowie w roku 1937) nawiązuje do najpiękniejszych tradycji polskiej muzyki. Konieczny wyróżniał się zawsze niepodrabialnym stylem: jego śpiewna, nostalgiczna fraza oraz miarowy rytm definiują idiom jednego z najbardziej niedocenianych kompozytorów muzyki filmowej. W *Pornografii* muzyka jest może nawet bardziej trafna od filmu – jeśli w ogóle można tak powiedzieć o muzyce filmowej. Kolski, reżyserując adaptację Gombrowicza, nie znalazł spójnego sposobu na dotarcie do intelektualnej warstwy jego prozy. Pokazując grupę ludzi „obłączonych” przez wojnę na sandomierskiej prowincji, skupił się głównie na emocjonalnej grze pozorów. Z pewnością jed-

nak w jego ekranizacji pozostało wiele z nastroju zawieszenia tak charakterystycznego dla wybitnego prozaika. Tak również brzmi muzyka Koniecznego: harmonicznie nieokreślona, melodycznie otwarta. Jednocześnie jest w niej coś więcej: coś intymnego, osobistego, lecz także zdystansowanego. Mimo że główny motyw zorkiestrowano na niewielką orkiestrę (słysząc charakterystyczne smyczki grające *unisono*), można ulec wrażeniu, że to piosenka. Konieczny tak kładzie akcenty, by melodia przypominała prozodię polskie-

Przez chwilę wydawało się, że znów miała obowiązywać stara zasada, iż dobra muzyka filmowa to taka, której nie słyszać.

go języka – główny motyw jest jakby esencją wyjętą z brzmienia rodzimej tradycji. Ta uważność na formę, jej niuanse i brzmienia łączy Koniecznego z Gombrowiczem. Kompozytor z rozmysłem ścisza melodię, jakby chciał zasugerować, że na ścieżce dźwiękowej zaszyfrowano poufną wiadomość. *Pornografia* jest zatem opowieścią o grze formą. Ta sama melodia może brzmieć smutno, może też brzmieć wesoło. Kiedy główny bohater filmu (Krzysztof Majchrzak) gra na fortepianie *Preludium e-moll op. 28 nr 4* Fryderyka Chopina, jedna z jego słuchaczek wygłasza pretensję: „Panie Fryderyku, to strasznie smutne!”, jakby w czasie wojny nie godziło się siał defetyzmu taką muzyką. Wtedy rozlega się raz jeszcze główny motyw Koniecznego – zagra-



Maj 2015, Festiwal Muzyki Filmowej – gala muzyki polskiej „Scoring4Wajda” z muzyką do filmów Andrzeja Wajdy. Podczas gali główną nagrodę festiwalu, Nagrodę im. Wojciecha Kilara otrzymał Eliot Goldenthal, laureat Oscara. Na zdjęciu NN, Elżbieta Penderecka, Izabela Helbin, Krzysztof Penderecki, Andrzej Wajda, Krystyna Zachwatowicz

ny skocznie, błazeńsko, prawie jak ragtime. Ta smutno-wesoła melodia jest chyba najbliższa duchowi powieści Gombrowicza.

Drugim wybitnym kompozytorem, który powrócił do kina na początku XXI wieku, był Krzysztof Penderecki. Wieloletni rektor Państwowej Szkoły Muzycznej w Krakowie najmocniej związany był z polskim kinem w okresie świetności autorów polskiej szkoły filmowej. Choć nigdy nie specjalizował się w komponowaniu dla filmu (zawsze bardziej pociągała go muzyka koncertowa i oratoryj-

na), to liczba cytatów z jego kompozycji na ścieżkach dźwiękowych sprawia, że brzmienie Pendereckiego zauważalnie wpłynęło na brzmienie polskiej (a także światowej) muzyki filmowej. Jego znak rozpoznawczy to łączenie tradycji z nowoczesnością (jak w *Rękopisie znalezionym w Saragossie* Hasa z 1963 roku, w którym „muzyka elektroniczna” sąsiaduje z barokową stylizacją). Twórcy filmowi szczególnie polubili jednak mroczną, sonorystyczną wersję Pendereckiego (tak brzmi *Lśnienie* Stanleya Kubricka z 1980 roku), po-

skiego *Requiem* to dzieła, które znalazły się w ostatecznej wersji filmu, więc nie jest to typowy przykład muzyki specjalnie napisanej do filmu, lecz raczej specjalnie wybranej (selekcji dokonał sam Penderecki). Jaka zatem jest relacja pomiędzy filmem i muzyką? Wajda w *Katyniu* dowiódł, że jest reżyserem wiernym rzeczywistości, którego troską jest skrupulatna rekonstrukcja zdarzeń związanych ze zbrodnią na polskich żołnierzach oraz losy ich rodzin. Muzyka Pendereckiego to wartość dodana – wydobywa z obrazów Wajdy to, co duchowe, elegijne. W jego kompozycjach również zamyka się doświadczenie XX wieku – mistrz z Luśławic wielokrotnie opatrywał swoje dzieła inskrypcjami, które kierowały uwagę słuchaczy w stronę przeżycia historiozoficznego. Tak jest chociażby w przypadku utworu *Ofiarom Hiroszimy – Tren* (1960), w którym muzyczna ekspresyjność ma być wyrazem – choć nie dosłownym – prawdziwego dramatu ofiar ataku atomowego. Zarówno Wajda, jak i Penderecki to artyści z wyraźnym poczuciem misji, a *Katyni* dla obu twórców, lecz również dla polskiego kina, jest podsumowaniem tego okresu, w którym kino wywiązywało się z zadania relacjonowania historii dotąd wymazywanych ze zbiorowej pamięci.

Do nowoczesności i z powrotem

Jak brzmi współczesna polska muzyka filmowa? Czy podlega tym samym trendom co muzyka w Hollywood? Czy wciąż jest wierna tradycji? Z pewnością trudno sprowadzić twórczość tak różnych kompozytorów jak Jan A.P. Kaczmarek, Łukasz Targosz czy Bartosz Chajdecki (wszyscy związani na swój sposób z Krakowem) do jednego mianownika, ale może to właśnie definiuje współczesne brzmienie filmowe? Eklektyzm i różnorodność to podstawowe określenia współczesnych soundtracków, które zanurzone są w schematach klasycznej hollywoodzkiej partytury, a jednocześnie wzbogacają je o inne idiomy: jazz, rock czy nawet brzmienie techno (w czym specjalizuje się przecież Hans Zimmer).

Zawód kompozytora muzyki filmowej jest chyba najbardziej transnarodowym zawodem w całej filmowej branży. Uniwersalny kod muzyki przemawia przecież podobnie do publiczności polskiej, jak i amerykańskiej, czego dowodem jest chociażby kariera i twórczość Jana A.P. Kaczmarka. Sam kompozytor w rozmowie z Polskim Radiem stwierdził: „Żyję w rozkroku. To praktyczne – nie wracać. Samemu sobie niczego nie deklarować. Stan wiecznej podróży dla mnie jest bardzo zdrowy, inspirujący”. Laureat Oscara za muzykę do *Marzyciela* (2004, reż. Marc Foster) kilkadziesiąt lat spędził w Stanach Zjednoczonych, ostatnio jednak coraz częściej spotkać można go w Krakowie, chociażby przy okazji Festiwalu Muzyki Filmo-

wodującą, że rozdrażnione przez muzykę nerwy widzów reagują tym intensywniej na przerażające obrazy.

Zupełnie inny wymiar grozy uzyskał Andrzej Wajda dzięki wykorzystaniu kompozycji Pendereckiego w *Katyniu* (2007). Anegdota głosi, że dwaj artyści spotkali się podczas koncertu w Petersburgu, gdzie doszło też do spotkania dwóch artystycznych wizji. To wówczas kompozytor stwierdził: „Gdybyś robił film o *Katyniu*, dam ci moją muzykę”. Utwory symfoniczne czy *Agnus Dei* z *Pol-*



Drugi dzień Festiwalu Muzyki Filmowej, gala muzyki polskiej „Scoring4Wajda” z muzyką do filmów Andrzeja Wajdy. Na zdjęciu, Kraków, 28.05.2015, Studio69, Adam Pawlikowski

wej. Jedną z bardziej „krakowskich” produkcji, w których uczestniczył Kaczmarek, był film Petra Zelenki *Bracia Karamazow* (2008) realizowany między innymi na terenie Nowej Huty. Pośród postindustrialnych dekoracji trwa realizacja spektaklu opartego na powieści Fiodora Dostojewskiego. I tutaj, na tle monumentalnych, fabrycznych konstrukcji słyszymy ciężkie, smyczkowe ściany dźwięków tak charakterystyczne dla Kaczmarka. Kompozytor odchodzi od tradycyjnych lejt-motywów, zastępując je krótkimi frazami,

które lepiej oddają rozchwiany nastrój filmu Zelenki.

Kompozycje Jana A.P. Kaczmarka wpisują się w model muzyki empatycznej i emocjonalnej, która pozwala się wczuć w nastrój filmu, lecz młodzi kompozytorzy coraz częściej sięgają po muzykę surową w brzmieniu, czasem wręcz indyferentną wobec akcji filmu.

Wśród twórców młodszej generacji szczególnie dynamicznie rozwija się kariera Bartosza Chajdeckiego (urodzony w 1980 roku w Krakowie absolwent tutejszej Akademii

nie tautologicznego) do treści filmu. Zresztą Chajdecki potrafi posługiwać się także innymi idiomami, czego dowiódł, pisząc muzykę do *Jestem mordercą* (2016) Macieja Pieprzycy. To muzyka nowoczesna do szpiku kości: minimalistyczna w melodyce i stworzona z myślą o elektronicznym brzmieniu. Nie ma w niej przesadnej emocjonalności: mimo że film opowiada porażającą historię o niewinnie skazanym człowieku, oszczędna fraza fortepianowa jak gdyby się wycofuje, aby z dystansu kontrapunktować akcję.

Uczniem Pendereckiego jest z kolei inny absolwent Akademii Muzycznej w Krakowie Abel Korzeniowski. Jego droga kariery zatacza charakterystyczną pętlę: od filmów świadomie „prowincjonalnych” (*Duże zwierzę*, 2000, reż. Jerzy Stuhr, *Anioł w Krakowie*, 2002, reż. Artur „Baron” Więcek), wykorzystujących *genius loci*, poprzez głośne produkcje hollywoodzkie (*Samotny mężczyzna*, 2009, reż. Tom Ford), by wreszcie wrócić do

Młodzi kompozytorzy coraz częściej sięgają po muzykę surową w brzmieniu, czasem wręcz indyferentną wobec akcji filmu.

lokalnych brzmień w zanurzonej w sandomierskiej grozie *Ziarnie prawdy* (2015) Borysa Lankosza. Zresztą nawet w nominowanej do Złotych Globów ścieżce dźwiękowej do *Samotnego mężczyzny* Korzeniowski zaproponował muzykę trochę z innego świata: intymną, emocjonalną, ale również kołyszącą się w „europejskim”, staroświeckim i tanecznym rytmie na trzy.

*

Kraków stał się jednym z najważniejszych ośrodków muzyki filmowej nie tylko ze względu na kompozytorów mieszkających tutaj lub w inny sposób związanych z miastem, ale także dzięki Festiwalowi Muzyki Filmowej, który od 2008 roku prezentuje publiczności najnowsze trendy na ścieżkach dźwiękowych. Wydarzenie rozwija się z roku na rok i do tej pory gościło międzynarodowe gwiazdy batuty tej miary co wielokrotnie nominowany do Oscara Alexandre Desplat.

To też zresztą znak czasów, epoki, w której artyści zyskali status transnarodowy – czego przykładem jest chociażby kariera Jana A.P. Kaczmarka funkcjonującego stale pomiędzy Hollywood a Polską.

Muzycznej – jego praca magisterska poświęcona była autonomii muzyki filmowej). Czy rzeczywiście jego muzyka jest „autonomiczna”? Niezupełnie – przecież szlagierowy *soundtrack* do serialu *Czas honoru* (2008–2014) to typowa muzyka ilustracyjna, utrzymana w dobrze rozpoznawalnym stylu, oscylującym pomiędzy delikatnym liryzmem a nutami heroicznymi. Nie można z tego jednak czynić zarzutu, zwłaszcza że zadaniem dobrego kompozytora muzyki filmowej jest tworzenie brzmienia adekwatnego (choć



Krzysztof Siwoń – filmoznawca, doktorant, współpracownik Instytutu Sztuk Audiowizualnych UJ. Przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą fonosferze PRL-u w polskich komediach filmowych. Współpracuje również z Krakowskim Festiwalem Filmowym.



Europa przy jedzeniu żuru

Rozmawiał Jacek Balcewicz Zdjęcia: Magda Pawluczuk oraz EPPGroup-MLahousse

Róża Thun: „Kompromis” w Polsce jest brzydkim słowem. A tymczasem kompromis jest czymś trudnym do wypracowania, ale w wielu sytuacjach absolutnie koniecznym po to, żeby iść do przodu.

W starej krakowskiej kamienicy tuż przy Plantach, przy ulicy Pijarskiej, usiedliśmy przy garnku pełnym polskiego żuru i zaczęliśmy z eurodeputowaną Różą Thun rozmowę o rodzinie, Krakowie, Polsce i Europie.

Jacek Balcewicz: Gdy zadzwoniłem, odbierając telefon, przedstawiła się Pani: „Róża Thun”, a tymczasem na interaktywnej mapie sali obrad Parlamentu Europejskiego w Strasburgu aktualizowanej przed każdą sesją przy miejscu akurat numer 828 w ostatnim rządzie na samej koronie sali obrad widnieje pani jako Róża Gräfin von Thun und Hohenstein...

Róża Thun: cały czas walczę o to, aby być na T, a nie na G, bo inaczej nikt mnie nie znajdzie...

To przeciwnicy polityczni w swoim czasie zadbali o to, by występowała Pani ze wszystkimi przynależnymi tytułami. Niemkę z Pani chcieli zrobić, choć jest Pani przecież córką prof. Jacka Woźniakowskiego – pierwszego prezydenta Krakowa wybranego przez radę miasta po odrodzeniu samorządu w 1990 roku.

Mało mnie to interesuje, kto mnie kim chciał zrobić...

Według dziecięcej piosenki: „Krakowianka jedna miała chłopca z Wiednia...”. Thunowie to ród austriacki czy czeski?

Rzeczywiście? Ja znam: „miała chłopca z drewna...”. A na poważnie: Thunowie są bardziej powiedziałabym „cesarsko-królewscy”, ale nie z Austrii w jej dzisiejszym rozumieniu i granicach. Genealogia Thunów zaczyna się w XII wieku w Trentino, w Val di Non koło Trydentu. Czy tam przywędrowali z miejscowości Thun nad jeziorem Thun w dzisiejszej Szwajcarii – nie jest pewne. Po bitwie pod Białą Górą w 1620 roku, gdy cesarz Austrii, który wtedy władał również w Trentino, wypędzał protestantów z Czech, to jednego z Thunów oddelegował do Czech, by tam zarządzał w jego imieniu. I my oboje jesteśmy z tej właśnie czeskiej linii... Jest taka książka Marii Czapskiej *Europa w rodzinie*, gdzie wszystko jest dokładnie opisane. Sama też

napisałam książkę *Róża*. O Thunach jest sporo publikacji w różnych językach.

Powiedziała Pani oboje?

Tak, bo z mężem jesteśmy dalekimi kuzynami. Moja babka po kądzieli była z domu Czapska. Była najmłodszą siostrą Józefa i Marii Czapskich. Ich matką była Josephine Gräfin von Thun und Hohenstein. Franz, mój mąż, pochodzi po jej starszym bracie. Nasza linia Thunów do końca II wojny światowej mieszkała w Czechach. Jest takie pytanie stale zadawane mojemu mężowi w Polsce: kim ty właściwie jesteś? Włochem? Bo stamtąd pochodzą Thunowie. Austriakiem? Bo przez pokolenia byli związani z Habsburgami. Czechem? Bo tam się urodził jego ojciec. Niemcem? Bo Franz akurat urodził się w Niemczech, a dokładnie w Passau, gdzie zbiegają się granice Czech, Austrii i Niemiec. A najdłużej w swoim życiu mieszkał w Polsce, więc chyba najbardziej związany jest z Polską. To nazwisko jest faktycznie niewygodne w codziennym użytku. Najchętniej bym je zmieniła, tak jak to uczyniła jedna z moich córek, na Thun po prostu, ale im bardziej jestem atakowana za nazwisko właśnie, tym bardziej wiem, że tego nie zrobię.

Człowiek nie wybiera sobie nazwiska...

Ale wybiera sobie męża. Ja bardzo dobrze wybrałam.

Jak traktuje się odpowiedzialnie historię własnej rodziny, to dużo można się dowiedzieć o Polsce, Europie i świecie. Takie poszukiwania rodzinne są bardzo ciekawe i budujące. Ważne jest, by nie wynikały one z pobudek snobistycznych czy nacjonalistycznych. Ale gdyby zagorzali nacjonaści, którzy na ogół nie znają nazwisk panieńskich swoich babek, dobrze poszukali, to mogliby czasami się mocno zdziwić, że są tak samo wymieszani jak większość rdzennych mieszkańców Europy Środkowej.

Gdy popatrzymy na noblistów czy laureatów innych prestiżowych nagród o znaczeniu międzynarodowym, to łatwo zauważyć, że największe osiągnięcia mają miejsce na styku narodowości, kultur czy religii. Weźmy

zmarłego niedawno kreatora mody Karla Lagerfelda. Ojciec pochodził z Władywostoku, matka z Berlina, studiował sztukę we Włoszech, a największe swoje projekty stworzył w Paryżu...

Mój ojciec mówił, że cywilizacja zawsze największy postęp czyni tam, gdzie spotykają się ludzie, którzy są różni. Jak siedzi się zamkniętym nawet w złotej klatce z takimi samymi ludźmi jak my, którzy gotują się we własnym

Rozmawiając z pozycji naszej domniemanej wyższości, nigdy z nikim się nie dogadamy.

Bardzo mi się podoba stwierdzenie ks. arcybiskupa Życińskiego: „To prawda, że Bóg powiedział nam: wy jesteście światłością świata, ale nigdzie nie powiedział, że reszta jest ciemnością...”.

sosie – to trudno o jakikolwiek postęp. Jak patrzę na ojców założycieli Unii Europejskiej, to Alcide de Gasperi pochodził podobnie jak Thunowie z Trentino, Robert Schuman urodził się w Luksemburgu w rodzinie pochodzącej z Alzacji i Lotaryngii, Konrad Adenauer wywodził się z Nadrenii Północnej, landu graniczącego z Francją. Wszyscy byli pogranicznikami. A w Polsce: Dąbrowski, którego imienia mazurek jest naszym hymnem, prawie nie mówił po polsku, ojciec Jana Matejki był Czechem, a matka Henryka Rodakowskiego, wielkiego polskiego malarza, urodziła się Żydówką, która jako dziecko wraz ze swoją matką została ochrzczona. Mickiewicz, nasz wieszcz narodowy, był Litwinem, który pisał po polsku, że już o Chopinie nie wspomnę. Ludzie, którzy są najbardziej twórczy, często wywodzą się ze styku kultur. My wszyscy jako Polacy jesteśmy bardzo wymieszani...

Kiedy w Pani głowie pojawiła się myśl, że wspólna Europa ma sens? Wysoko w górach Nepalu czy we Frankfurcie nad Menem, gdzie wyjechała Pani z Krakowa za mężem? Ani w Nepalu, ani we Frankfurcie, a w Krakowie. Niemal od zawsze. Nasz ojciec od początku wychował nas na Europejczyków, choć sam jak na ironię urodził się w Małopolsce i tu, w Galicji, spędził całe życie. W niedzielę po mszy świętej chodziliśmy całą rodziną na wystawę na przykład do Drobnerówki, czyli dzisiejszego Bunkra Sztuki. Potem często szliśmy do kamienicy przy ulicy Pijarskiej, gdzie mieszkała stara księżna Sapieżyńska, austriacka wdowa po bracie księcia kardynała Sapiehy. Rodzice darzyli ją wielkim szacunkiem. Albo też zwyczajnie chodziliśmy po Rynku i ulicach przyległych. Tata pokazywał nam na przykład kolegiatę św. Anny, tłumacząc, że zaprojektował ją Holender, Tylman z Gameren, który uczył się architektury

barokowej we Włoszech, a potem przyjechał do Polski i taki piękny kościół nam pobudował, albo ołtarz mariacki wyrzeźbiony przez norymberczyka Wita Stwosza, który w Krakowie znalazł podatny grunt, by stworzyć dzieło swojego życia. Na Wawelu tata zachwycał się dziedzińcem renesansowym zbudowanym przez architektów przywiezionych przez Bonę Sforza. Jeździliśmy oglądać willę Decjusza, który też przyjechał do nas z Italii. Dlatego Kraków jest tak piękny i oryginalny, bo przyjeżdżali tu ludzie z różnych stron i znajdowali przyjazne warunki do rozwoju talentu oraz twórczości. Europę mieliśmy w Krakowie. Wyrastaliśmy i dojrzewaliśmy w przekonaniu, że Europa jest tworem naturalnie wspólnym, bo w istocie jest oparta na wspólnej historii, filozofii greckiej, prawie rzymskim i wspólnych wartościach judeochrześcijańskich.

Teraz stanęliśmy trochę jednak jakby na rozdrożu...

Nie my, to PiS stanął na rozdrożu. I dziś jesteśmy bardzo podzielonym społeczeństwem, które w przeważającej większości jest jednak proeuropejskie. To PiS jest antyeuropejski, chociaż zrobił sobie hasło „Polska w sercu Europy”. Niestety, to PiS-owskie serce jest chore, zalane żółcią i nienawiścią.

Premier mówił nawet o „bijącym sercu Europy”.

Co zabrzmiało raczej komicznie. Oni tej Europy nie znoszą – uważają, że wspólna Europa ogranicza im swobodę, bo Trybunał Europejski zwraca uwagę, że nie można wbrew prawu wymieniać sędziów w Sądzie Najwyższym po to, żeby ich uzależnić od partii rządzącej. A polscy sędziowie są jednocześnie sędziami europejskimi, rozstrzygają w sprawach, które przekraczają granice i ich wyroki nie będą, a czasem już nie są, uznawane w UE. Ludzie PiS-u chcą mieć pełną swobodę decyzji... Nie znoszą, gdy ktoś zwraca im uwagę. A poza tym dla nich w Europie jest obco.

Ale twierdzenie, że Polacy w swojej większości są wrogo nastawieni do obcych, jest nieprawdziwe... Nie wbijajmy sobie do głowy, że dzięki naszej hermetyczności jesteśmy bezpieczni i lepsi od innych. Podczas każdego weekendu na polskich drogach ginie 60 osób, często z winy pijanych lub nieodpowiedzialnych kierowców, 40 tys. osób rocznie umiera z powodu chorób wywołanych przez smog. W tych dziedzinach niechlubnie przodujemy w Europie. Mamy w Polsce ogromną liczbę samobójstw... Rozmawiając z pozycji naszej domniemanej wyższości, nigdy z nikim się nie dogadamy. Bardzo mi się podoba stwierdzenie ks. arcybiskupa Życińskiego zawarte w ostatniej książce Aleksandry Klich. „To prawda, że Bóg powiedział nam: wy jesteście światłością świata, ale nigdzie nie powiedział, że reszta jest ciemnością...”.

Pani pracy w Parlamencie Europejskim żałujemy znieśnienie roamingu. Już bez





Róża Maria Barbara Gräfin von Thun und Hohenstein, córka prof. Jacka Woźniakowskiego, historyka sztuki i wieloletniego dziennikarza „Tygodnika Powszechnego”, a później profesora KUL. W czasie studiów (anglistyka UJ) związana z dominikańskim Duszpasterstwem Akademickim „Beczka”, a od 1977 roku także ze Studenckim Komitetem Solidarności. W 1981 roku wyszła za mąż za Franza Grafa von Thun und Hohenstein i wyjechała z nim do Frankfurtu nad Menem, gdzie zastał ją stan wojenny. Tam włączyła się w nurt zagranicznej pomocy dla osób represjonowanych w Polsce. W latach 1989–1991 wraz z mężem mieszkała w Katmandu, stolicy Nepalu.

Po powrocie na stałe do Polski w 1991 roku związała się z Fundacją im. Roberta Schumana, gdzie była dyrektorem, a następnie prezesem zarządu. W 2005 roku, a więc już po wejściu Polski do Unii Europejskiej, wygrała konkurs na stanowisko dyrektora Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce. W 2009 roku wzięła udział w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Otrzymując blisko 154 tys. głosów, zapewniła sobie mandat europosła z Małopolski i Świętokrzyskiego. Pięć lat później zbliżoną liczbą głosów zapracowała na reelekcję. Obecnie pracuje w Komisji Rynku Wewnętrznego i Ochrony Konsumentów. (jb)

strachu możemy otwierać maile z rachunkami telefonicznymi.

Wspólnota polega na tym, że wiele rzeczy robi się wspólnie. I im więcej się robi, tym więcej jest jeszcze do zrobienia. To nie jest tak, że spadnie wszystko gotowe z nieba i będzie. Nie znoszę takiego gadania, że ojcowie założyciele mieli wspaniałą ideę, a wy w tym Parlamencie zajmujecie się eurocentami i innymi nudnymi rzeczami. Jak ta idea o wspólnocie zostanie na poziomie idei – to będzie wyłącznie ideą i niczym więcej. Nic z tego nie odczujemy i Europa nadal będzie podzielona. Wielkość Schumana polega na tym, że on tę wielką

ideę od razu w prozę przekuł i w konkret służący pokojowi: we Wspólnotę Węgla i Stali.

Dzisiaj bardziej Wspólnota Energii i Jednolitego Rynku Cyfrowego...

Tę wielką ideę trzeba nieustannie przekuć w konkret: znosić bariery między krajami i ograniczenia, które utrudniają nam funkcjonowanie oraz rozwój. Udaje się to powoli i z dużym nakładem pracy. Ja idąc do Komisji Wspólnego Rynku i Ochrony Konsumenta, motywowana byłam kontynuowaniem wielkiej idei Roberta Schumana. Jak się chcemy jednaczyć, to nie możemy obrywać po kieszeni, gdy przekraczamy granicę, bo są wściekłe

opłaty za roaming. Takich spraw jest jeszcze wiele i dotyczą nie tylko mieszkańców Polski...

To była, jak pamiętam, walka na noże, niemal do pierwszej krwi...

Po drugiej stronie walki przeciwko dodatkowym opłatom za roaming mieliśmy olbrzymie firmy z olbrzymimi interesami... Prawdą jest, że operatorzy płacą też wielkie podatki, więc dość łatwo ministrowie finansów w poszczególnych krajach dają się im zlobować. Od strony organizacyjnej wygląda to tak: mamy Komisję Europejską, Parlament Europejski i Radę. Tę ostatnią tworzą przedstawiciele rządów państw członkowskich. I o ile Komisja oraz Parlament z reguły dbają i wzmacniają słabszego, o tyle Rada już niekoniecznie. A do pełnego wdrożenia jakiegokolwiek regulacji potrzebna jest pełna zgoda Rady i Parlamentu. Gdyby to zależało tylko od Parlamentu, to obniżenie opłat roamingowych wprowadzilibyśmy w znacznie szybszym tempie. Podobnie walczyliśmy z podwójną jakością produktów. Na Kleparzu w Krakowie jest wielkie stoisko z napisem CHEMIA Z NIEMIEC. Panuje przekonanie, że jest ona lepsza jakościowo niż ta oferowana oficjalnie na polskim rynku. Nie wiem, być może jest lepsza... Jako Unia Europejska musimy kontrolować wielkie koncerny, by pod tą samą marką, w takim samym opakowaniu sprzedawały wszędzie tę samą jakość produktu. Bez względu na to, czy jest to kierowane na rynek niemiecki, polski czy rumuński. Nie twierdzimy, że przedsiębiorca musi wszędzie sprzedawać to samo. Ale nie może pakować tak samo produktów, które różnią się jakością. Może też różnicować ceny, ale nie może wprowadzać klienta w błąd. Ochrona konsumenta przed koncernami to żmudne zajęcie.

W grudniu 2018 roku weszła w życie dyrektywa zabraniająca geoblokowania, to znaczy odmowy sprzedaży online na przykład klientowi z Polski, który chciał kupić produkt z Danii, albo odmowy przyjęcia jego środka płatniczego, bo jest z Polski, albo przekierowanie tego klienta bez jego zgody na stronę innego sklepu. Mankamentem jest nadal konieczność przewalutowania oraz opłaty za zagraniczne przelewy.

Tak, z pewnością mankamentem jest to, że nie jesteśmy w strefie euro. To osłabia pozycję Polski, która jest 5-6 potencjałem gospodarczym Unii, a przedsiębiorców eksportujących swoje towary i usługi naraża na ryzyko kursowe, zaś konsumentów na koszty przewalutowania transakcji... Ale zakaz geoblokowania, okropnej praktyki dyskryminującej wielu klientów dokonujących zakupów w internecie, jest faktycznie wielkim sukcesem. Proszę sobie nie wyobrażać, że w ten sposób już wszystko jest załatwione. Barier na rynku europejskim mamy jeszcze mnóstwo. Musimy je krok po kroku znosić, tak żeby konsument mógł korzystać, czyli mieć wielki

wyбір towarów i usług, wybierać najlepsze i najtańsze skąd chce, a to wzmacnia konkurencję i mobilizuje producentów oraz usługodawców do wytwarzania lepszych produktów. Ale i przedsiębiorca w Europie (która będzie) bez barier, ma łatwiejszy dostęp do klientów. W Unii Europejskiej mieszka około pół miliarda potencjalnych klientów! Stale musimy pilnować, aby nie powstawały nowe bariery, walczyć z protekcjonistycznymi praktykami, a to naprawdę nie jest łatwe.

Podstawowym problemem jest to, by wybrać do Parlamentu Europejskiego reprezentantów, którzy podejmą wyzwania i rozwiążą problemy. To od jakości naszej pracy zależy, czy Polacy będą konsumentami drugiego sor-

Wspólnota polega na tym, że wiele rzeczy robi się wspólnie. I im więcej się robi, tym więcej jest jeszcze do zrobienia. To nie jest tak, że spadnie wszystko gotowe z nieba i będzie.

tu czy nie. Mówiąc „naszej”, myślę o wszystkich wybranych, pośrednio i bezpośrednio, w Polsce i pracujących na poziomie europejskim. Chodzi mi przede wszystkim o członków Rady, czyli przedstawicieli polskiego rządu i o Parlament Europejski.

Ludzie nie chodzą na wybory, bo jak twierdzą nie mają na kogo głosować.

Mamy bardzo słabe przygotowanie społeczeństwa do uprawiania polityki, a w demokracji każdy obywatel musi uprawiać politykę. Oczekujemy idealnych kandydatów, którzy w stu procentach będą odpowiadali naszym oczekiwaniom. Ale tacy nie istnieją!

Mówimy: mój jeden głos się nie liczy, i tak zrobią, co zechcą... A tymczasem właśnie chrześcijanin musi brać odpowiedzialność na siebie, by móc służyć bliźniemu. Znowu przywołam Roberta Schumana, który wywodził się z bardzo skromnego środowiska, a do dzisiaj żyjemy w dobrych skutkach jego działania w sferze publicznej. Karol Wojtyła też nie wywodził się z jakiegoś zamożnego czy wpływowego środowiska. Ci ludzie byli wielcy, bo nie bali się odczytać swojego powołania, wzięli odpowiedzialność na siebie, traktując ją jako służbę bliźniemu, i zostawili po sobie dobry ślad na ziemi.



Jacek Balcewicz – najmłodszy z grona „ojców założycieli” miesięcznika „Kraków”. Z wykształcenia inżynier górnik po AGH, z temperamentu i profesji dziennikarz, publicysta i fotografik. Radny Dzielnicy I Kraków Stare Miasto od trzech kadencji. Mieszka na Kazimierzu.

Koń i królowa, czyli monidło i śmierć

Tekst i zdjęcia: Anna Mazela Zdjęcie autorki: Natalia Biesiada-Myszak

Gdyby śmierci sprawić monidło, to nawet ona dostałaby rumieńców. Bo czyż nie tym właśnie są monidła? Czy nie próbują martwoty czarno-białych fotografii fałszywie ubarwić życiem?

Monidła – obrazy malarskie tworzone na podstawie fotografii za pomocą aerografu i kompresora bądź ręcznie, lecz także bezpośrednio na odbitkach fotograficznych poprzez retusz dokonywany farbami anilinowymi, akwarelami, pastelami, rozcieranymi nawet króliczą łapką – latami uznawano za kicz. A czy nie tym właśnie jest kicz: wymalowaną śmiercią?

Życie, piękno, sztuka

Na tym jednak przecież opiera się ludzkie życie: na opieraniu się śmierci! Właśnie w tej walce człowieka z jego losem można ujrzeć największe piękno życia. Czemu by więc piękna nie dostrzec w monidle?

Z drugiej strony dziś piękno nie jest konieczne, by coś uznać za sztukę i w ten sposób (równie dobry) wpisać monidło w kategorię dzieł artystycznych. Czyż nie jest ono niesamowicie groteskowe? Z tym swoim patosem i podniosłą misją, a równocześnie widoczną zwykle na pierwszy rzut oka, gdyż skutkującą komiczną deformacją, niezgrabnością niewprawnego malarza. Te rumieńce to z wysiłku! Tak strasznie ci biedni namalowani ludzie starają się zaprzeczyć śmierci.

Rodzina historia

Stoję tu jednak minę błazna do poważnej gry. Chcę bowiem pisać o pewnym bardzo jasnym pokoju. Kremowym, spływającym muślinowymi zasłonkami, tak łagodnym jak umieranie we śnie, choć moja babcia, która w nim mieszka, cała już opleciona jest w sen, a ciągle krzyczy i woła. Wciąż opiera się śmierci, choć życie dawno jej się wyparło. I wciąż się martwi. Wciąż się boi, że jakieś rachunki niezapłacone. Tam, w tym pokoju, wisi monidło. Jest wielkości około dwudziestu na trzydzieści centymetrów i przedstawia moją mamę w sukience komunijnej i wianku, moją babcie oraz dwie ciotki, siostry babci: ciotkę Kazię, którą znam, i ciotkę Stasię, która zmarła tragicznie rok po swoim ślubie. Mama bardzo przypomina moją siostrę, zaś babcia wygląda zupełnie jak jakiś antyczny posąg – ma gładką skórę, prawie się nie uśmiecha, jest ustawiona lekko bokiem i nie patrzy w obiektyw. Bardziej znajomo wygląda już ciocia Kazia, która uśmiecha się nieco szelmowsko, jak to ona. Ciocia Stasia zaś, z twarzą zwróconą prosto w stronę obiektywu i szeroko otwartymi oczami, przypomina gwiazdę starych filmów.

Retusz, choć wyczuwalny jakimś szóstym zmysłem, dopiero po obejrzeniu obrazu całkiem z bliska daje się stwierdzić ostatecznie i udowodnić. Najpierw dostrzegam wyraźne pociągnięcia pędzlem na białej sukience mamy oraz sztuczność i malarstwo lili trzymanych przez nią w ręku. Natomiast po wyjęciu monidła zza szkła widzę dokładnie, że nawet stroje i tło zostały namalowane!

Szukamy z mamą oryginalnych fotografii, ale znajdujemy tylko pocztówkowe zdjęcia samej mamy w komunijnej sukience, a także mamy z babcią. Wło-

sy matki wyglądają tu inaczej, spływają delikatnie falami, podczas gdy na monidle wszystkie postaci mają włosy ułożone w pukle. Sygnatura zakładu fotograficznego – Foto Lux, ul. Starowiślna 78 – podsuwa mi pytanie, czy to możliwe, by tam również powstało monidło?

Zaglądam do internetu. Szukam po forach i blogach. W końcu piszę kilka postów na Facebooku – na mojej prywatnej tablicy oraz na stronach kilku grup fotograficznych i nowohuckich. Do informacji na temat zakładu ze Starowiślnej nie udaje



Rodzinne monidło – moja mama, babcia i dwie ciotki

mi się dotrzeć, ale jeszcze tego samego dnia post komentują ludzie, którzy widzieli tego typu prace w domach swoich krewnych, znajomych, a nawet posiadają je we własnych mieszkaniach. Jedna z osób dziękuje mi za post, gdyż dzięki niemu

Monidła stanowiły najwyższe, prywatne sacrum, wieszane tuż obok świętych obrazów. Były jak prywatne ikony, które jedynie naśladują podobieństwo, nie stanowiąc kopii rzeczywistości.

dowiedziała się w końcu, co właściwie wisi u niej na ścianie. Inne osoby przesyłają mi fotografie posiadanych przez nie monideł, a jedna nawet zapis dźwiękowy rozmowy, w której brały udział aż trzy pokolenia: ona, jej mama oraz babcia. Dowiaduję się z niej, że w latach 70. w okolicach placu Centralnego chodził po blokach akwizytor i proponował takie usługi. Domokrądcy nie wykonywali monideł, a jedynie zbierali zamówienia – we wspomnianym przypadku akwizytor zebrał je w całej klatce schodowej. Niektórzy kupowali monidła na raty – tak były drogie i tak pożądane! Może właśnie w taki sposób powstało monidło z pokoju mojej babci: już po latach, w Nowej Hucie?

Mariusz Sudziński, fotograf i kulturoznawca z Lublina, gdzie we współpracy z artystą, fotografem i etnografem, a także kolekcjonerem i pasjonatem monideł Andrzejem Różyckim zorganizował w 2011 roku pionierską wystawę monideł, stwierdza, iż na Lubelszczyźnie „była zorganizowana grupa ludzi, która zbierała zamówienia, później w pracowniach wyświetlano fragmenty oryginalnych zdjęć na papier fotograficzny, a inni je kolorowali. Sprzedawano je łącznie z wysyłkami do Chicago. Spółdzielnia Zorza produkowała od 1,5 do 2 tys. monideł miesięcznie”. Sudziński wspomina również o zakładach, w których monidła wytwarzały całe rodziny, a także, iż „przy tworzeniu monideł często pracowali studenci uczelni artystycznych, jak też doświadczeni malarze”.

Jak to więc było z monidłem z pokoju babci?

Sacrum nieuznane

Monidła stanowiły najwyższe, prywatne sacrum, co odzwierciedlał fakt wieszania ich tuż obok świętych obrazów. Były jak prywatne ikony, które jedynie naśladują podobieństwo, nie stanowiąc kopii rzeczywistości, a równocześnie będąc czymś więcej niż rzeczywistość sama w sobie, pokazując świat „przebóstwiony”, jak to określa z kolei artystka Elżbieta Żukowska-Jóźwiak. Choć fotografia zdaje się nierozzerwalnie połączona z ukazywaną przezeń rzeczywistością, jej znaczeniem jest przede wszystkim ten nadatek, który powstaje w wyobraźni odbiorcy. Jeszcze lepszym przykładem jest tutaj monidło, zwłaszcza wykonane bez szczególnych umiejętności, na których postaci często wcale nie przypominają swoich pierwowzorów. W przypadku monideł związek między obrazem a desygnatem opiera się

przede wszystkim na wierze ludzi, którzy są emocjonalnie zaangażowani w proces jego powstawania i późniejsze istnienie.

Sacrum prywatne miesza się tutaj z *sacrum* wspólnotowym, a dzieje się tak przez tradycję, której częścią są śluby oraz obrzędy Pierwszej Komunii Świętej, stanowiące najczęstszy temat monidłowych przedstawień. Samo monidło nie jest jednak częścią tradycji, lokuje się raczej gdzieś na jej peryferiach, wyraźnie obecne, ale nieuznane.

Monidło w sztuce

Szersza świadomość na temat monidła jako fenomenu zaistniała dzięki filmowi Antoniego Krauzego *Monidło* na podstawie opowiadania Jana Himilbscha. Monidło, jako nieodłączny atrybut w polskich domach, pojawia się również w *Zapisie socjologicznym* Zofii Rydet. Wspomina o monidle również Olga Drenda w swoich *Wyrobach*, nominowanych do Paszportów „Polityki”. Zarówno Sudziński, jak i Drenda, zaznaczają, że monidło nie istniało jedynie na polskich ziemiach, ale również w Argentynie, Brazylii, Rosji czy na Kubie. Niektórzy współcześni artyści, jak choćby wspomniani już Różycki i Sudziński, a także Ewa Martyniszyn, otwarcie przyznają się do inspiracji monidłem.

Mimo to dla wielu ludzi monidło wciąż stanowi rzecz gorszą, świadcząca o niskim guście, a wręcz bezwartościową. Być może właśnie dlatego posiadacze monideł wciąż obawiają się nimi chwalić i do nich przyznawać, a gdy to czynią, towarzyszy temu rumieniec zażenowania.

*

Mam jeszcze jedną myśl. Wspomnienie-baśń, wspomnienie-opowieść. Kołysankę. Partię szachów rozgrywaną przez same królowe. Albo przez same konie. Takie opowieści snuł mi do snu ojciec, kiedy byłam dzieckiem. To ja wybierałam, kto ma się zmierzyć na szachownicy, a tata opowiadał o zaciętych walkach. Te walki chyba się jakoś kończyły. Jedną z królowych zwyciężała. A przecież dwie figury mogłyby uciekać przed sobą bez końca! Czyżby któraś w końcu padała z wycieńczenia? I teraz tak patrzę na te oryginalne fotografie, a później na monidła, i myślę, że te zdjęcia to jest zamrożona śmierć, monidła natomiast prędzej nazwę zamrożonym życiem – wiecznym ruchem goniących się po szachownicy koni.



Anna Mazela – doktor nauk humanistycznych w dyscyplinie kulturoznawstwa, zafascynowana fotografią jako fenomenem kulturowym. Miłośniczka baśni. Animatorka kultury i bibliotekarka. W 2016 roku krakowski oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich wydał jej debiutancki tom poetycki

Głęboko, nisko, za który w tym samym roku otrzymała wyróżnienie w Ogólnopolskim Konkursie im. Anny Świrszczyńskiej. Wiersze publikowała w Magazynie Materiałów Literackich CEGŁA, w czasopiśmie „Kraków”, „2Miesięczniku”, „Inter-”, „Helikopterze”.

Łaźnia Nowa: laboratorium współuczestnictwa

Tekst Jakub Wydrzyński **Zdjęcia:** Alicja Rzepa

Tam, gdzie trafiają, pozostawiają swoją energię. Życie poświęcili teatrowi, z którym peregrynują przez dzielnice Krakowa. Zaczynali na Kazimierzu, wrócili do Nowej Huty, by stworzyć Teatr Łaźnia Nowa, w którym współpracują z lokalnymi mieszkańcami oraz najwybitniejszymi polskimi artystami. Małgorzata i Bartosz Szydłowscy – para, którą połączyła sztuka oraz szalona wizja zmieniania świata według zasady „myśl globalnie, działaj lokalnie”.

S poglądamy przez okno sali prób na drugą stronę szkolnego podwórza. Z lewej strony boiska, za nimi Zalew Nowohucki, z prawej strony budynek Zespołu Szkół Elektrycznych nr 2, przed nami opuszczone skrzydło szkoły, w którym już za rok otworzy się Dom Utopii. Małgorzata Szydłowska, scenografka i producentka, zastępca dyrektora Teatru Łaźnia Nowa, opowiada mi o planowanych projektach Łaźni:

– Chcemy stworzyć miejsce lokalnego dialogu i nauki współdziałania, miejsce warsztatów, społecznego uniwersytetu oraz miejsce rezydencji artystycznych, do których będziemy zapraszać twórców działających w dialogu z przestrzenią Nowej Huty. Sztuka będzie tylko jednym z narzędzi. Budynek zapewni bazę warsztatową, wystawienniczą i rezydencyjną. Dom Utopii – Międzynarodowe Centrum Empatii będzie żyć i promieniować ideami zaufania, otwartości, czyli tym, czego tak bardzo brakuje w naszym społeczeństwie.

Patrzemy na rozwijającą się przestrzeń twórczą, stojąc w miejscu, które obrosło cudzą i własną historią. Można powiedzieć, że teatr kolonizuje szkołę, lecz to raczej bardzo udana symbioza. W sensie symbolicznym od prawie dwóch dekad artyści przeprowadzają opuszczone budynki w nowe czasy i nowe wyzwania. Twórcy Łaźni pojawili się tu w momencie, gdy nieczynne pomieszczenia szkolne czekały na nowego gospodarza. Placówka, która kiedyś oddała swoje warsztaty, dziś przekazuje nieczynne skrzydło przy hali gimnastycznej.

Performuj i partycypuj

Nie od razu Kraków... i nie od razu Teatr Łaźnia Nowa zbudowano. Ta droga zaczyna się w połowie lat 90., kiedy Małgorzata i Bartosz Szydłowscy postanawiają sprzedać mieszkanie i zaczynają remont dwóch pomieszczeń przy ul. Paulińskiej z przeznaczeniem na mieszkanie-pracownię oraz scenę dla działań Stowarzyszenia Teatralnego „Łaźnia” (1995–2004). Dziś większość teatromanów kojarzy ten adres z teatrem Barakah, w którym występują między innymi aktorzy Teatru

im. J. Słowackiego w Krakowie, artystycznie kierowanego przez Bartosza Szydłowskiego. Gdy w roku 2005 stowarzyszenie szukało nowej siedziby, przyjazną przystanią okazała się Nowa Huta, gdzie wychował się Bartosz. Chciałoby się rzec, że artysta wrócił na „stare śmieci”, lecz Szydłowscy nie spoczywają na laurach. Jak podkreśla reżyser:

– To jest proces. Praca wymagająca nieustannej uwagi. Po piętnastu latach zaczynam dzień i zadaję sobie pytania: „Po co robisz teatr?”, „Dlaczego w Nowej Hucie?”, „Jakie są twoje cele?”, „Do kogo mówisz?”. Moment, w którym przestajemy pytać, to koniec tego projektu. Pod tym względem jestem taki sam jak na początku tej drogi.

Czternaście lat temu warsztaty huczały od maszyn remontowych. Gdy rozpoczynano prace adaptacyjne, w budynku funkcjonował jeszcze punkt napraw stolarski, zakład elektryczny, związek gołębiarzy oraz hodowla szynszyli. Cały gmach teatru przez wiele lat po adaptacji przesiąknięty był jeszcze zapachem przemysłowych smarów i olejów. Mieszkańcy Nowej Huty oraz ekipa Łaźni oswajali się stopniowo, przełamując pierwsze lody. Jak opowiada Małgorzata Szydłowska, nigdy nie nastąpiło oficjalne otwarcie całego budynku:

– Nie byliśmy na to organizacyjnie i finansowo gotowi, otwieraliśmy po kawałku kolejne przestrzenie. Przez cały sezon realizowaliśmy projekty, a w wakacje zaczynaliśmy następną przebudowę. Pierwsze pięć lat właściwie stąd nie wyjeżdżaliśmy, bo w hałasie remontów wykuwały się idee i planowaliśmy nowy repertuar. I chyba dobrze, że nie weszliśmy tu z inwestycyjnym impetem. Unikaliśmy błędów i politycznej pompy. Dzięki temu udało się zbudować relację bardziej bezpośrednią i tym samym bardziej wiarygodną. Unikaliśmy słowa „teatr”, żeby pierwszym skojarzeniem nie była prezentacja i przedstawienie, ale spotkanie. Ludzie żartobliwie pytali, ile kosztuje kąpiel w Łaźni, ale jednak nas akceptowali. Zaczęliśmy od zaproszenia ich do rozmów, by zobaczyli, że nie narzucamy im jakiejś odgórnego narracji. Z takich spotkań rodziły się pierwsze spektakle.

Bartosz dodaje: – Chcieliśmy dać do zrozumienia, że jesteśmy tu dla nich, że przychodzimy i mówimy: „Wysłuchamy was. Wysłuchajcie nas”. Instytucja kultury w konkretnym miejscu powinna być laboratorium rzeczywistości, miejscem, w którym się nasłuchuje zamiast ustalać z góry, co komu jest potrzebne. Ludzie wybierają festyny disco polo, gdy nie mają żadnej innej oferty kulturalnej. Kiedy wejdzie się w dialog i rozbudzi ludzką ciekawość, można proponować projekty ambitne i mówiące o sprawach ważkich.

W tworzonej instytucji Szydłowski zaproponowali zarówno model instytucji i jej współbrzmienia z otoczeniem, ale też nową formę produkcji teatralnej, opartą na grantach i projektach. Dekadę temu byli pionierami kultury partycypacji w polskim teatrze. Spektakle z udziałem profesjonalistów i chorem ludzi bez przygotowania artystycznego, aktywizacja seniorów czy wykorzystywanie świadectw Historii Mówionej dopiero pączkowały na zawodowych scenach. Krytycy początkowo zarzucali im, że angażując amatorów, tracą na walorze. Twórcy Łaźni mieli jednak inne zdanie:

– Nigdy nie czuliśmy, że coś tracimy – mówi Małgorzata. – Zapraszanie ludzi do projektów spowodowało, że wytworzyliśmy inny język opowieści. Język wówczas jeszcze mało popularny w teatrze. Recenzenci nie wiedzieli, co z tym począć. Łączyliśmy dwa światy, bo na ich styku rodziła się niepowtarzalna energia. Nie przeszkadzała nam ta chropowatość. Wolimy to, co chropowate, od tego, co wygładzone.

Potencjał lokalności

Idea Łaźni pojawiła się w czasie przemian. Polska po roku 1989 zaczęła mówić językiem lokalnym. Ludzie związani z teatrem i kulturą niezależną inicjowali działania związane z tożsamością Małych Ojczyzn. Instytucje takie jak Ośrodek Pogranicze w Sejnach, Ośrodek Praktyk Teatralnych w Gardzienicach, Brama Grodzka – Teatr NN w Lublinie, Stacja Wolimierz, Towarzystwo Wierszalin w Supraślu rozwijały wielokulturowość oraz tożsamość pograniczy. Ekwiwalentem takich działań w Krakowie były kolejne edycje Festiwalu Kultury Żydowskiej na Kazimierzu oraz artystyczne kolonie jak pierwsza Łaźnia, Kawiarnia Singer, Klub Alchemia. Kazimierskie doświadczenie Szydłowski przemieśli do Nowej Huty. Pierwszym impulsem były pozytywne wrażenia z realizacji widowiska multimedialnego „Aleja Nadziei Odrodzenie” przygotowanego w roku 2004 w alei Róż. Rok później, gdy za namową radnego Ireneusza Rasia oglądali możliwe lokalizacje dla nowej placówki kultury, w hali warsztatów szkolnych Zespołu Szkół Mechanicznych na os. Szkolnym (obecny ZSE nr 2) Małgorzata poczuła, że znaleźli miejsce idealne dla dalszej działalności.



Patrzemy na rozwijającą się przestrzeń twórczą, stojąc w miejscu, które obrosło cudzą i własną historią. Można powiedzieć, że teatr kolonizuje szkołę, lecz to raczej bardzo udana symbioza.

– Jestem z Nowej Huty, wychowałem się na osiedlu Piastów – mówi Bartosz. – Potraktowałem ten gest jako *signum temporis*, znak mojego osobistego rozwoju duchowego. Być może było tak, jak powiedziała mi jedna z sąsiadek: „Nadszedł czas, żebyś oddał to, co dostałeś od Nowej Huty”. I tak wyruszyłem w tę podróż w głębokim przekonaniu, że ona mnie też rozwija.

Siedzibę Łaźni Nowej niełatwo namierzyć w gąszczu innych budynków. Organicznie wrasta w tkankę osiedla. Jest na wyciągnięcie dłoni, tak jak miejscowy zieleniak, kiosk czy park. Gdy Bartosz i Małgorzata zaczęli tu swoje działania, postawili na rozmowę i poznanie najbliższego sąsiedztwa. Do pierwszego spektaklu zatytułowanego *Mieszkam tu* (2004) w reżyserii Jacka Papisa poprosili o podarowanie przedmiotów, które miały opowiedzieć historię miejsca. Stało się to punktem wyjścia do powstania jednoaktówek autorstwa Jacka Papisa, Pawła Jurka, Pawła Sali, Radosława Dobrowolskiego, Małgorzaty Owsiany, Sławka Shuty, Mariusza Sieniewicza. Zbiórka nowohuckich artefaktów pomogło im udomowić Łaźnię. Szafy, fotele, lampy z okresu PRL, monidła, podobnie jak znalezione przy remoncie budynku tablice BHP, weszły w dialog z industrialną architekturą i stały się swoistym wyznacznikiem „vintage a’la Nowa Huta”. Elementy codzienności pozwalały poczuć się tu bardziej jak we własnym salonie niż w typowym ośrodku kultury. Małgorzata tworząc projekt adaptacji warsztatów na teatr, jako główną zasadę przyjęła brak sceny i widowni bliski koncepcji teatru environmentalnego („teatru otoczenia”). Dało to możliwość realizacji każdej konwencji czy aranżacji oraz pozwolić na oglądanie widowiska z każdej dowolnej perspektywy.

– W Łaźni spełnia się utopijna wizja instytucji kultury – mówi Bartosz. – Zaczyna się od pytania: co robić, by instytucja stała się punktem styku intuicji artysty i potrzeb społecznych. Co robić, aby rezonowała z energią miejsca, w którym powstaje. Stymulowała i katalizowała siły kreatywne wśród tych, którzy do tej instytucji przychodzą. To był punkt startu Łaźni oraz startu wielkiego marzenia o kulturze *vita quotidiana*, marzenia o wcieleniu symbolicznej narracji w życie dzielnicy, w to pozornie trudne blokowisko, zamknięte w swoich małych światach jak w *Dekalogu* Krzysztofa Kieślowskiego. Jeśli ma się zaufanie do ludzi i realizuje z pasją wyznawane idee, to nagle ta szarość zamienia się w kolor.

Historia i współczesność dzielnicy przynosiły tematy, zaś charakter sceny inicjował wzajemną wymianę energii. Zaczęły powstawać ważne spektakle środowiskowe w reżyserii Bartosza i w scenografiach Małgorzaty. *W Edypie. Tragedii sentymentalnej z Nową Hutą w tle* (2006) odtwórcą roli Koryfeusza



Idea Łaźni pojawiła się w czasie przemian. Polska po roku 1989 zaczęła mówić językiem lokalnym. Ludzie związani z teatrem i kulturą niezależną inicjowali działania związane z tożsamością Małych Ojczyzn.

4. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL POEZJI SILESIUS

ROZMOWY

- EWA LIPSKA, LAUREATKA SILESIUSA ZA CAŁOKSZTAŁT PRACY TWÓRCZEJ
- NOMINOWANI W KATEGORII KSIĄŻKA ROKU: TOMASZ BĄK, KAMILA JANIĄK, ADAM KACZANOWSKI, ALDONA KOPKIEWICZ, MAŁGORZATA LEBDA, JACEK ŁUKASIEWICZ, KRZYSZTOF SIWCZYK
- W KATEGORII DEBIUT: MACIEJ BOBULA, MICHAŁ DOMAGALSKI, JAN ROJEWSKI

WŚRÓD GOŚCI

- ROSZAK, STOLARCZYK, ŻADAN (UKRAINA), ZADURA, HRUŠKA (CZECHY), ENGELKING, VAN HEE (BELGIA), KOCH, ORSKA, SOSNOWSKI, KIERC, ZAWADA, GÓRA, SRBOVÁ (CZECHY), HÁJEK (CZECHY), ZEDNÍK (CZECHY), BAŁDYGA, MACKIEWICZ, ANDRUCHOWYCZ (UKRAINA), BIERUT, WOLNY-HAMKAŁO, BARAN, SENDECKI, PIDZIK, BONOWICZ, DĚŽINSKÝ (CZECHY)

SCENA MUZYCZNA

- ANDRUCHOWYCZ & KARBIDO
- POCHWALONE
- PRZEPYCH
- PONADTO CZYTANIA, DEBATY, DYSKUSJE I PREMIERY

14–19 MAJA 2019
KLUB PROZA
WROCŁAW

WROCŁAWSKA NAGRODA
POETYCKA SILESIUS
GALA 18 MAJA

NA WSZYSTKIE
WYDARZENIA
WSTĘP WOLNY

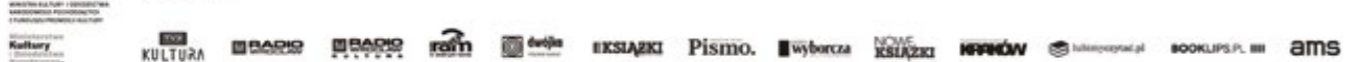
GOŚĆ HONOROWY
CZECHY

ORGANIZATORZY

PARTNERZY



PATRONI MEDIALNI



Celem projektu było zaktywizowanie Polaków, by ocalić mit „Solidarności”. Dziś, gdy już wiadomo, że Łażnia wychodzi na prostą – przesłanie spektaklu, niczym promyk nadziei, idzie w świat. *Wałęsa...* został zaproszony do Ameryki Południowej oraz do Gdańska na obchody dwudziestolecia 4 Czerwca.

oraz przewodnikiem i komentatorem historii był dwunastoletni podopieczny domu opieki społecznej, zaś członków chóru wyłoniono na podstawie ogłoszenia. Podczas prac nad widowiskiem młody aktor zaczął na oczach współpracowników dojrzywać wraz ze swoim bohaterem, wchodząc w relacje z reżyserem oraz z tekstem utworu. Był to silny moment zwrotny dla twórców i uczestników projektu. Poznani przy realizacji *Edypa* Cyganie z Nowej Huty stworzyli później wykonywaną na żywo oprawę muzyczną adaptacji *Krwawych godów* Lorki, czyli przedstawienia *Krwawe wesele – muzyczna opowieść o cygańskim sercu* (2007). Wystawiony na międzynarodowym festiwalu w Legnicy spektakl, któ-

ry odwoływał się do symboliki cygańskich mitów o powołaniu świata, dawał też możliwość prezentacji kultury romskiej w przestrzeni miejskiej. *Fakir, czyli optymizm* (2011) na podstawie dramatu Mrożka wystawiany był w scenografii imitującej typowe nowohuckie mieszkania. Aktorzy prezentowali swoją codzienność niczym gospodarze poszczególnych mieszkań udostępnionych widzom do zwiedzania i przeżywania w intymnej przestrzeni. Każdy z tych projektów miał w sobie element ryzyka i nieprzewidywalności, często opierał się na autentycznych biografiiach i wspomnieniach grających, ich wrażliwości oraz gotowości do odnalezienia się na scenie. W trakcie prób powstawały

autentyczne więzi, kiełkowało zaufanie „lokalistów” do artystów, zawiązywały się pielęgnowane przez lata przyjaźnie między Łaźnią a mieszkańcami. Jak powtarza reżyser: „Jeśli ten teatr powstał, żeby uratować jedno życie, to warto go tworzyć”.

Dziś Łaźnia to nie tylko teatr przez wielkie „T”. Miejsce obrosło wieloma formami aktywności. Wykiełkowały tu innowacyjne działania społeczne, sportowo-piknikowe, prasowe – jak dzielnicowy magazyn kulturalno-społeczny „Lodołamacz”, liczne współprodukcje z teatrami z Polski i zagranicy, legendarny serial teatralny *Kłątwa* duetu Strzępka i Demirski, koncerty muzyki alternatywnej, przygotowane dla tej sceny spektakle Joanny Szczepkowskiej, Danuty Stenki, Krystiana Lupy. Wakacyjnym hitem okazał się cykl wydarzeń artystycznych, rekreacyjnych i rozrywkowych *Bulwart Sztuki*, działający w sezonie letnim nad Zalewem Nowohuckim. Debiutująca w mieście instytucja po trzech latach działalności w roku 2008 powołała do życia jedno najważniejszych międzynarodowych wydarzeń teatralnych w kraju – Festiwal Boska Komedia.

Łaźnia jest wciąż przestrzenią wolności i twórczych poszukiwań, dlatego przyciąga artystów proponujących odważne nowatorskie projekty. Wielkim sukcesem sceny na os. Szkolnym jest spektakl *Wszystko o mojej matce* w reż. Michała Borczucha, który w 2018 roku zebrał laury na najważniejszych festiwalach teatralnych w Polsce oraz indywidualne nagrody dla twórców: Paszport „Polityki” dla Michała Borczucha, Nagrodę im. Stanisława Bieniasza dla dramaturga Tomasa Śpiewaka, nagrodę aktorską dla Moniki Niemczyk na Ogólnopolskim Konkursie na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej. Jesienią 2019 roku przedstawienie zostanie zaprezentowane w Chinach. W marcu 2019 na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu entuzjastycznie przyjęty został *Wieloryb. The Globe* (reż. E. Rysowa) z wybitną kreacją Krzysztofa Globisza. *Wieloryb...* to spektakl w procesie. Od premiery dzieła poświęconemu aktorowi zmagającemu się z afazją minęły już ponad dwa lata bogate w nowe dla całego zespołu doświadczenia.

Czas próby

W roku 2017 ktoś postanowił zadać cios. Prokuratura postawiła Bartoszowi Szydłowskiemu zarzuty niegospodarności na prawie pół miliona złotych. Śledztwo oraz liczne kontrole zostały wszczęte w efekcie zawiadomienia radnego PiS działającego w komisji rewizyjnej. Sprawa ciągnęła się prawie dwa lata. Bartosz ustąpił ze stanowiska szefa teatru, pozostając dyrektorem artystycznym. W lutym 2019 „wobec braku czynu zabronionego” śledztwo przeciw dyrektorowi Łaźni zostało umorzono. Przy okazji tej afery Szydłowski przekonali się, że przyjaciele Łaźni staną za

nimi murem, nawet jeśli urzędnicy będą rzucać kłody pod nogi. Bronili ich nowohucianie towarzyszący im od początku działalności. Ludzie mający często inne sympatie polityczne, światopogląd, a mimo to czujący, że Łaźnia jest ich miejscem.

– Śledztwo umorzono, a przeprowadzony audyt wykazał wręcz, że zajmujemy drugie miejsce na liście wzorcowo prowadzonych publicznych instytucji kultury w mieście – mówi oczyszczony z zarzutów dyrektor. – To chyba o czymś świadczy. Nie licząc samej naszej pracy i poświęcenia przez te wszystkie lata. Życia całej naszej rodziny, które podporządkowane było rozwojowi tego dzieła na wszystkich płaszczyznach. Ale w sztuce chyba nie da się inaczej.

Ostatnie dwa lata zmieniły perspektywę patrzenia, zdystansowały do pewnych wyborów. Wcześniej wszystkie ważne decyzje były podyktowane rozwojem teatru. Szydłowski mówili „My-Łaźnia”. Jakby zostali ukarani za nadmierne zaangażowanie i utożsamianie się z tworzonym miejscem. Uświadomili sobie, że po 20 latach działalności funkcjonują w systemie, który nie przewiduje takiego „kuriozum” jak oni. Ochronił ich gest prezydenta, listy poparcia środowiska artystycznego oraz wielkie wsparcie nowohucian.

Szukając tego, co łączy

Bartosz Szydłowski dziś oddycha z ulgą. Po raz pierwszy od dwóch lat nie musi skupiać się na oczyszczaniu się z zarzutów. Znowu priorytetem jest teatr i nowe projekty. Współpracownicy zauważają przemianę w zachowaniu dyrektora. Mówią, że „wrócił stary Bartosz”, uśmiechnięty, pełen werwy i pomysłów. Jego najnowszy autorski spektakl to *Wałęsa w Kolonos* z Jerzym Stuhrem w roli głównej. Przedstawienie ma wymiar symboliczny, bo powstawało w okresie, gdy ważyły się przyszłe losy Łaźni, a Polakom usiłowano odebrać kolejnego bohatera. Dyrektor postanowił znowu zaprosić amatorów i stworzyć z nimi chór poszukujący porozumienia, wspólnego głosu wbrew burzy, którą ktoś postanowił rozpętać nad społeczeństwem. Celem projektu było zaktywizowanie Polaków w swoistym zgromadzeniu ludowym, by ocalić mit „Solidarności”. Dziś, gdy już wiadomo, że Łaźnia wychodzi na prostą – przesłanie spektaklu, niczym promyk nadziei, idzie w świat. *Wałęsa...* został zaproszony do Ameryki Południowej oraz do Gdańska na obchody dwudziestolecia 4 Czerwca. Łaźnia Nowa działa i udowadnia, że szczerze tworzony teatr to miejsce spotkania i przeżycia, których próżno szukać gdzie indziej.

Pytany o podziały społeczne i artystyczne Bartosz Szydłowski przypomina, że w wielu projektach pracował z ludźmi o poglądach zarówno konserwatywnych, jak liberalnych, lecz coś zawsze ich scalało we wspólnym działaniu, niezależnie, czy był to *Wałęsa...*, *Konrad*



Małgorzata Szydłowska – scenografka, zastępca dyrektora Teatru Łaźnia Nowa ds. produkcji teatralnych. Absolwentka scenografii w krakowskiej ASP. Autorka projektu adaptacji budynku warsztatów szkolnych na potrzeby Teatru Łaźnia Nowa. Projektowała scenografię do spektakli m.in. J. Opalskiego, B. Hussakowskiego, A. Figury, P. Waligórskiego, W. Rubina. Laureatka nagrody Centrum Scenografii Polskiej za nowatorstwo myśli scenograficznej w projektach do opery *Don Giovanni* Mozarta (1993) oraz indywidualnej nagrody za scenografię i oprawę plastyczną spektaklu *Wszystkie rodzaje śmierci* na motywach *Siddharthy* Hessego w reż. P. Pasiniego (2009). W 2010 r. odznaczona Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze *Gloria Artis*”.

Bartosz Szydłowski – reżyser, zastępca dyrektora ds. artystycznych Teatru Łaźnia Nowa, kurator programu artystycznego Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie, absolwent filmoznawstwa (UJ) oraz reżyserii teatralnej (PWST). Pomysłodawca i twórca festiwalu teatralnego Boska Komedia. W 1996 r. założył Stowarzyszenie Teatralne „Łaźnia”, niezależną scenę teatralną realizującą projekty społeczne i edukacyjne. W 2005 r. przeniósł swoją działalność do Nowej Huty, tworząc Teatr Łaźnia Nowa, jedną z najdynamiczniejszych instytucji w Polsce. Zrealizowane tam spektakle to m.in. *Edyp – tragedia sentymalna* z *Nową Hutą* w tle, *Krwawe wesele*, czyli *muzyczna opowieść o cygańskim sercu*, *Moralność Pani Dulskiej*, czyli *w poszukiwaniu zagubionego kramu*, *Przypadek Krzysztofa Kieślowskiego*. Szydłowski jest laureatem Nagrody im. J. Dietla oraz Złotego Lauru za mistrzostwo w sztuce i reżyserii. Nagrodzony Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze *Gloria Artis*”.



maszyna czy Fakir... – We wszystkim, co robimy, musimy szukać tego, co łączy – podkreśla. – To może brzmieć jak banał, ale najważniejsze jest, byśmy zawsze znajdowali wspólny mianownik. Jeśli to zrobimy, wszystko jest możliwe. Łaźnia to laboratorium nieustającego myślenia na temat obywatelskiego uczestnictwa. Myślenia o granicach indywidualizmu, o potrzebie rezygnacji z własnej pozycji, potrzebie dzielenia się swoim bogactwem, dorobkiem i świadomością. Nasza praca powinna służyć większej społecznej idei, jaką

jest otwarcie i budowanie wspólnoty poprzez wzajemny szacunek i rezonowanie naszych myśli i energii.



Jakub Wydrzyński – człowiek wielu zawodów i pasji, kulturoznawca, wieczny doktorant, naturalizowany krakowianin, właściciel psa kawiarzianego Stolika.

Notre Dame

Arkadiusz Stosur

Innego końca świata
 Spodziewaliśmy się patrząc
 Na zachód słońca nad Paryżem tego dnia
 Noc była niespokojna
 Staliśmy się samotni przestrzeń
 Miasta opustoszała Gotyk
 Znowu umarł na naszych oczach
 Opadły kamienie na bruk
 Świat nie opamiętał się nic nie zrozumiał
 Jeździło metro syczały samochody giełda podwajała zyski
 Ropa drożał samoloty przecinały ciche niebo
 A przecież tego wieczora utraciliśmy więcej niż mieliśmy
 Do tej pory Bo już nie pójdziemy
 Na spacer do świątyni która zawsze
 Tutaj była
 Już
 Nie usłyszemy podwójnego echa własnego głosu
 W pokornej prostej modlitwie
 Wyszeptanej pod sklepieniem ukrzyżowanym ciszą
 I średniowieczną melancholią
 Nie przejrzymy się w lustrach witraży nie wpijemy wzroku
 W ideał wysokiej igłicy
 Nie zobaczymy o świcie płonącym siedmioma zorzami
 Surowych wież
 Katedry której historia będzie trwała
 Dalej niż nasz wzrok dostrzega ogarnia serce podpowiadają rozum i intuicja

Tylko nadzieja jest jak leniwa powolna Loara płynąca nieustannie tylko w jednym kierunku ...

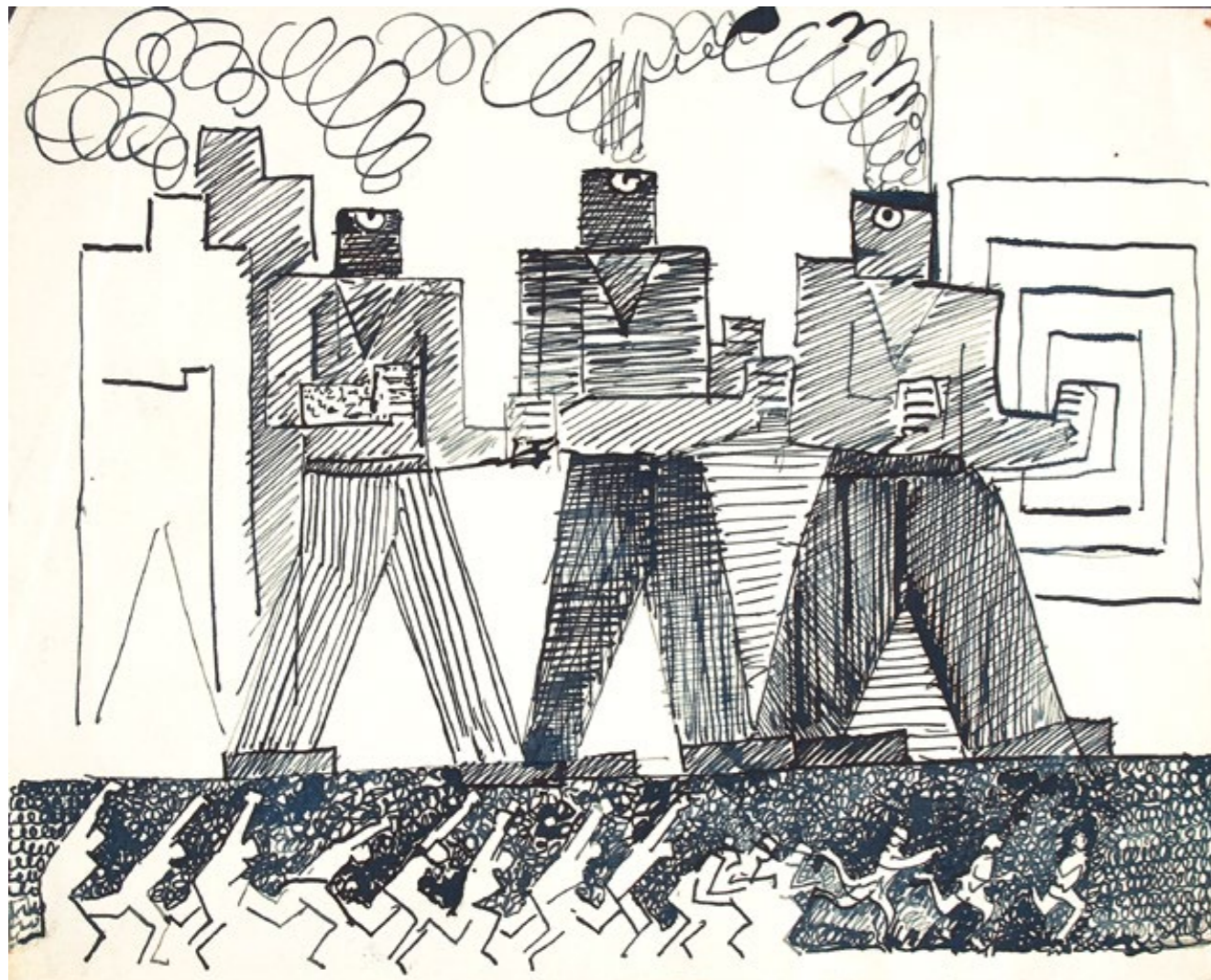
Kraków, dnia 15 kwietnia 2019 roku



Arkadiusz Stosur – (ur. 1973 w Nowym Sączu) – prawnik z wykształcenia, pracownik samorządowy, poeta, prozaik i eseista. Laureat nagrody głównej na V Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Kazimierza Ratonia w Olkuszu (2009). Jego

wiersze publikowano m.in. w „Akancie”, „Fragile”, „Frazie”, „Kozimryнку”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Toposie” oraz w wielu antologiach poetyckich. Mieszka w Krakowie.

Nie tylko Paryż i Berlin



Leon Chwistek, *Roboty. Kompozycja formistyczna*, 1923, Muzeum Narodowe, Kraków

Międzynarodowe Centrum Kultury we współpracy z ważnymi ośrodkami z naszej części kontynentu przygotowało prawdziwy kalejdoskop awangardzistów Europy Środkowo-Wschodniej.

Wielkie osiągnięcia sztuki malarskiej często zdarzały się w nieoczywistych punktach artystycznej mapy, z dala od głównych centrów świata kultury. Zostawmy więc Paryż, Berlin czy Nowy Jork i przyjrzyjmy się sztuce artystów Europy Środkowo-Wschodniej, regionu, który szczególnie wiele wycierpiał w początkach XX wieku.

MCK zaprosiło do współpracy Muzeum Sztuki w Ołomuńcu, Galerię Miasta Bratysławy i Muzeum Janusa Pannoniusa w Peczu. Efektem tej kooperacji jest niezwykła panorama awangardzistów Europy Środkowo-Wschodniej zamknięta w 20 latach najbardziej dynamicznych poszukiwań malarskich czołowych artystów i artystek tamtego okresu. Wybór prac do wystawy *Czas przełomu. Sztuka awangardy w Europie Środkowo-Wschodniej 1908-1928* nie jest przypadkowy i uświadamia ważny fakt – polski formizm, węgierski aktywizm czy czeski poetyzm miały nieoceniony wkład w sztukę awangardową na świecie. Dla młodych twórców futurizm czy kubizm były już for-

mami przebrzmiałymi, w ich miejsce pojawiła się fascynacja tkanką miasta pod hasłem „miasta i maszyny”, zwrot ku abstrakcji i konstruktywizmowi. Wśród polskich artystów pojawia się Stanisław Ignacy Witkiewicz, Katarzyna Kobro, Leon Chwistek czy Władysław Strzemiński.

W panoramie *Czas przełomu...* zestawiono ze sobą aż 170 dzieł artystów środkowoeuropejskich – polskich, czeskich, słowackich, węgierskich, rumuńskich, chorwackich czy serbskich, dla których punktem odniesienia w twórczości pozostawały wielkie artystyczne centra, jak Paryż, Berlin czy Nowy Jork, ale czerpane stamtąd impulsy i inspiracje były przez nich twórczo przetwarzane i dyktowały kierunek artystycznych przemian. Na wystawie można obejrzeć też zbiory unikatowych czasopism o sztuce, publikacji, plakatów, folderów, scenariuszy filmowych, fotografii będących przykładem eksperymentów i prób wypracowania nowatorskiej typografii i technik obrazowania.

Iga Dzieciuchowicz

Wystawę można zwiedzać od 8 marca do 9 czerwca 2019 r. w Galerii MCK, Rynek Główny 25.

 **Kraków**

**TYDZIEŃ
BIBLIOTEK
Z BIBLIOTEKĄ
KRAKÓW**

8-15 MAJA 2019



 **Biblioteka
Kraków**

 **Kraków
czyta**

WWW.BIBLIOTEKA.KRAKOW.PL

Czujny kołtun czy zacny mieszczanin?

Tekst: Witold Beres

Inspirująca wystawa *Mieszczanie* stawia przed odbiorcą chytne pytania. Oczywiście to: czy odnajdziesz się w świecie potomków dawnego, zmitologizowanego mieszczaństwa czy też raczej wśród jego krytyków? Ale gdy sobie człek odpowie, zaraz pojawi się pytanie, czy buntując się, nie łąduje w grupie nowych mieszczan.

1.

„O, Kocham Kraków – bo nie od kamieni przykrości-m doznał – lecz od żywych ludzi”.

„Na to mamy cztery ściany i sufit, aby brudy swoje prac w domu i aby nikt o nich nie wiedział”.

„Straszne mieszkania. W strasznych mieszkaniach / Strasznie mieszkają straszni mieszczanie”.

Stanisław Wyspiański. Gabriela Zapolska. Julian Tuwim.

Na mieszczaństwo narzekało, narzeka i narzekać będą tysiące buntujących się obywateli rozmaitych zawodów, obojga płci, różnego pochodzenia i w różnym wieku.

Najchętniej zawsze czynią to artyści, a już szczególne miejsce w opisie mieszczaństwa zajmuje Kraków. Można rzec, że choć śmieszni mieszczanie to temat ponad granicami i czasem, właśnie mieszczuch krakowski to swoisty archetyp człeka zakłamanego – przynajmniej w kulturze polskiej.

Jasne, najwięcej uczyniły na polu propagowania takiego podejścia młodopolskie wariacje walki z „falisterską kreaturą”, a już owa Zapolska, dzięki której nazwisko głównej bohaterki stało się synonimem całej grupy społecznej („dulszczyzna”), winna tu najbardziej.

A jak jest naprawdę? Rzecz to oczywiście nie do przekonujących badań (przestrzeń mitotwórcza ma to do siebie, że słabo klei się z faktami i badaniami), ale do debaty, zwłaszcza na polu kultury i sztuki – mieszczaństwo nadaje się jak najbardziej.

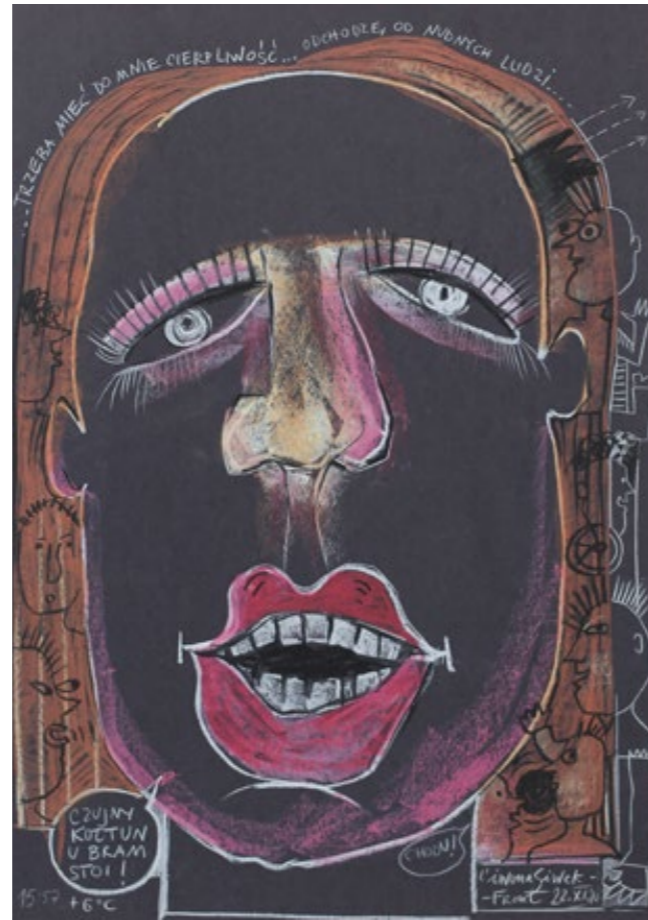
Czy ta wystawa stanie się miejscem dialogu starego z nowym? Czy postawi widzom pytanie o „nowych mieszczan”, których profil kreują współcześni naukowcy i publicyści?

Każdy odpowiedzieć musi sobie sam.

2.

Michał Hankus, kurator wystawy, podważa to stereotypowe myślenie o kołtunerii.

„Pojęcie mieszczaństwa, szczególnie w nawiązaniu do mieszkalców Krakowa, bardzo często nazbyt pochopnie było kojarzone już od końca XIX wieku z postawą konserwatywną, zachowawczą; niekiedy opisywaną jako chęć zamknięcia się na to, co inne i nowe. Wizja ta wzmacniana była ostrą kry-



Iwona Siwek-Front, *Czujny kołtun u bram stoi.* 22.XI.2010 (godz. 15.57), karton, pastel, 40 x 30 cm

tyką ze strony poetów i artystów młodopolskich. »Straszni mieszczanie« stali się antytezą otwartości i wszelkiego postępu. Te dwie wizje, jedna kreująca mieszczaństwo jako ostoję prawości i trzymania się jasnych zasad, druga czyniąca z niego zacieklego wroga wobec wszelkich zmian mogących zaburzyć dość znośnie ułożone życie wspólnoty, wzajemnie się przenikają w dyskusji o społeczności Krakowa sprzed ponad wieku”.

Jest w tym wiele racji.

Tak, bez owych strasznych mieszczan nie byłoby ogromnego rozwoju Krakowa na przełomie XIX i XX wieku, poczynając od biznesu poprzez cywilizację codzienną aż po sztuki plastyczne, teatr i architekturę.



Leonard Lepszy z synem, ok. 1908 r., fotografia, 17,8 x 12,9 cm, Muzeum Krakowa

Do historyków najbardziej przemawia sukces ludzi przybyłych do miasta, którzy stali się bardziej krakowscy niż sam Kraków.

Oto pochodząca z Bochni aktorka Antonina Hoffmann.

Oto prezydent miasta Mikołaj Zyblikiewicz – urodzony w okolicach Lwowa.

Oto kolejny wielki polityk – Juliusz Franciszek Leo, urodzony w małym Stebniku na Ukrainie.

Oto Leonard Jan Józef Lepszy, urodzony w 1856 w Krościenku, wybitny złotnik, zarówno praktyk, jak i teoretyk, inżynier górniczy. Po studiach (i górniczych w Akademii Górniczej w Loeben, i w Szkole Sztuk Pięknych w Krakowie) pracował w salinach w Bochni

i w Głównym Urzędzie Probiernym w Wiedniu, potem takimż urzędzie w Krakowie. Pasjonował się sztuką złotniczą późnego średniowiecza i odrodzenia oraz dziejami polskich rzemiosł artystycznych.

W 1896 roku, jak przystało na krakusamieszczucha, znalazł się w gronie założycieli Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, a w roku 1908 został członkiem czynnym Akademii Umiejętności (późniejszej Polskiej Akademii Umiejętności).

W tym samym 1908 roku robi sobie zdjęcie z czteroletnim synem Kazimierzem (1904–1964), przyszłym historykiem, profesorem i rektorem UJ.

Brr, jakież to kołtuńskie, prawda?



Artur Markowicz, *Portret damy we wnętrzu*, 1910, papier, pastel 62 x 47,5 cm

3.

Ale i spory mieszczenie/kołtuni *versus* artyści różnie wyglądały. Owszem, w ogniu walk padały słowa najcięższe. Gdy artystowska młodzież pisała ohydnie o „chuci” i wyzywała mieszczuchów – Panie niech nie słuchają! – od „filistrów”, mieszcuchy brutalnie odpłacały pięknym za nadobne. „Świszczypałka”, „mentekaptus”, a zwłaszcza „pisarek zbzikowany” są dowodem na zdziczenie krakowskich obyczajów.

Ale i najstraszniejsi mieszczenie zamieniali się w mecenasów, kiedy trzeba było.

Maria z Mohrów Kietlińska zapisuje w swych wspomnieniach:

„W r. 1885, w przejeździe do Francji, zatrzymał się młody Ignacy Paderewski w Krakowie i jak zwykle wszyscy artyści-muzycy czynili,

złożył wizytę w domu Stojowskich. Po obojętnym przyjęciu, jakiego doznał był w Warszawie, nie miał zamiaru wystąpić z koncertem. Uprosił go jednak Władysław Żeleński, aby zechciał zagrać na wieczorku w Tow. Muzycznym. Tegoż dnia wpadła do mnie Stojowska z paczką biletów, prosząc, abym takowe rozdała między znajomych, żeby salka nie świeciła pustkami, co byłoby afrontem dla artysty tej miary co Paderewski. Dobra ta kobieta ze swej strony zmobilizowała swoich znajomych, o ile krótki czas pozwalała. Sala zapełniła się doborową publicznością, a ukazującego się koncertanta, znanego nam tylko z pierwszych jego utworów, przyjęliśmy (na złość Warszawie) gromkim oklaskiem. Paderewski liczył 21 lat i był już wdowcem i ojcem kilkumiesięcznego synka. (...)



Iwona Siwek-Front, *Dziadek z psem*, 2008, olej na płótnie, 110 x 110 cm

Odczuwając zapal słuchaczy, grał sam dużo nad program. Oczarowani opuściliśmy salę i chyba nawet najniemuzykalniejszy ze słuchaczy nie żałował, że mu danym było tak niespodziewanie być uczestnikiem biesiady artystycznej”.

Anna Pochłódka w eseju *Życie kulturalne krakowskich mieszczan przełomu XIX i XX wieku* zauważa, że: „krytykowani i wyśmiewani z pozycji artystycznych i arystokratycznych mieszczenie byli znaczącymi i aktywnymi uczestnikami młodopolskiego życia kulturalnego oraz krzyżującego się z nim i dopełniającego je życia towarzyskiego. Chodzili do teatrów, kupowali książki i obrazy, przyjmowali wizyty w swoich »strasznych mieszkaniach«. W Krakowie przełomu XIX i XX wieku odgrywali rolę szczególną już choćby ze względu na stosunkowo wysoką liczebność: spośród galicyjskich miast to tutaj odsetek osób zaliczających się do inteligencji był najwyższy”.

4.

Ale czy dzisiejsza pochwała tamtego zachowawczego mieszczaństwa nie jest równie łatwa i powierzchowna jak jego ówczesna krytyka? No i przede wszystkim – jak nasze spojrzenie na dorobek mieszczaństwa, z jego

obciążeniami i sukcesami, przekłada się na odczytanie dnia dzisiejszego?

Bo że istnieją nowi mieszczenie – to truizm. Ale gdzie leżą ich słabe punkty? Czy mają się już czego wstydzić? A przede wszystkim: czy mają się już czym pochwalić?

Wystawa organizowana w Kamienicy Hipolitów stara się i nad tą kwestią zastanowić.

Hankus twierdzi, że dzisiejsi mieszczenie, to „społeczeństwo zatracające się w konsumpcji; to prekariusze – czyli najbardziej zapracowana grupa społeczna, często pracująca w tak zwanym sektorze kreatywnym oraz w rozrastających się w mieście korporacjach. To często »nowi kołtuni« kreowani przez socjologów krytykujących ich pęd do kariery, chęć dorobienia się. To polska klasa średnia, rodząca się z trudem i nieustannie oceniana przez tych, którzy dzięki jej istnieniu zarabiają jeszcze więcej”.

Jest w Polsce kilkoro artystów, którzy próbują dostrzec tę warstwę społeczną.

W Krakowie na pewno zaliczyć do nich należy Iwonę Siwek-Front, która od lat grubą kreską dosadnie portretuje również paskudną twarz współczesnego miasta. To malarstwo oparte na konwencji komiksu z komentarzem w formie cytatów z podsłuchanych w tłumie



Mateusz Szczypiński, *Bilans straconego czasu*, 2012, olej na płótnie, kolaż, 40 x 40 cm

rozmów. Taki malarski dokument o mieście. Artystka maluje z jednej strony tę twarz głupio banalną, niewyściubiającą nosa poza drinki sączone w pubach i na rautach. Ale z drugiej strony widzi i tę naprawdę mroczną, wulgarną, pełną seksizmu, nacjonalizmu czy po prostu chamstwa.

Są u niej jednak i wątki nostalgiczno-smutne, jak dziadek z psem inwalidą, który do niedawna jeszcze widywany był przez przechodniów nieopodal kościoła św. Marka. Być może był to jeden z ostatnich mieszkańców krakowskiego centrum, które obecnie staje się miejscem bez mieszczanina.

A jednak dziś jakoś niewielu artystów walczy z molochem tandety, chamstwa i komercji.

Bunt zdrożał i nie dają go na Kleparzu na borg?

5.

Dziś, zastanawiając się nad miastem i jego mieszkańcami, mamy niestety dużo więcej niż nasi pradiadowie sto lat temu pół do debaty, nie mówiąc już o prawdziwych problemach.

Czy *overtourism*, dający wielu mieszkańcom zyski, a miastu większe przychody, jest szansą, czy staje się prawdziwym koszmarem

niszczącym w gruncie rzeczy sferę mieszcuchów? Czy wyszynk, z którego miasto (każde) słynie, nie zamienia go w masową knajpę? Czy dostępność darmowej kultury aby nie zabija jej i nie zwalnia mieszczan z obowiązku jej współkreowania, a przynajmniej – wspierania? Czy sami artyści dorośli do tego, by żyjąc w wolności, tworzyć sztukę niepodlegającą presji reklamy i marketingu? Co wynika z konieczności zachowania wolności gospodarczej, która w centrum miasta zderza się z nachalną reklamą czy nieruchomościami zamienianymi – w najlepszym razie – w gabinet figur woskowych?

Jak to wszystko ma się do problemów dzisiejszego świata?

Popatrzmy choćby na centra miasta, które wyludniają się i tracą przestrzeń mentalną oraz kulturową wypracowywaną przez wieki poprzez kontakty zawodowe i towarzyskie mieszkańców.

Hankus zauważa: „Centrum Krakowa można przyrównać do sklepu wielkopowierzchniowego, w którym każdy znajdzie coś dla siebie, zaspokoi swoje potrzeby i wróci do domu, do swojej dzielnicy, osiedla czy na przedmie-



Julian Fałat, *Autoportret Juliana Fałata na tle widoku Krakowa*, 1903, olej na płótnie, 47,5 x 132,5 cm (w ramie)

ścia. Można powiedzieć, że w takiej dość smutnej wizji zacierają się wspólnota mieszczan; zanika ów mit mieszczaństwa i wrażliwość na otoczenie. Czy poczucia owej wspólnoty brakuje współczesnym krakowianom?”

Zauważa też, że te wszystkie zmiany w przestrzeni miasta mają również negatywny wpływ na kształt nowoczesnego mieszkania, gdzie króluje „pełna smutku sztampowość ukryta pod paletą przyjemnych kolorów i miłych oku kształtów przedmiotów”.

To zagubienie w modnym i tylko z pozoru indywidualnym wnętrzu ilustrują kolaże Mateusza Szczypińskiego pokazujące dzisiejsze pokoje, nieskrojone na miarę użytkownika.

Gdzie są dziś ci mieszcianie, którzy zabiegają o wolną sztukę, jak ci niegdysiejsi?

A więc – jednak mieszcuch XIX-wieczny niewiele się różni w swych szaroburych odzieniach od mieszcucha wieku XXI, który, pozornie barwniejszy, jest w gruncie rzeczy tak samo bezbarwny?

*

Mieszcianie to tylko element większego projektu „Prze-Mieszcianie” prowadzonego przez Muzeum Historyczne Miasta Krakowa.

Ta instytucja kultury postanowiła w ten sposób wkroczyć w przestrzeń centrum miasta, by poprzez poszczególne jego dzielnice skonfrontować historię ze współczesnymi mieszkańcami. Ma to być, jak piszą organizatorzy, „zarazem portret nowoczesnego Krakowa i jego mieszkańców, pamiętających o przeszłości i budujących teraźniejszość”.

W projekcie uczestniczy zatem pięć oddziałów Muzeum Krakowa, które na co dzień badają historię i kulturę różnych dzielnic miasta: Kamienica Hipolitów, Dom Zwierzyniecki, Muzeum Podgórze, Stara Synagoga i Muzeum Nowej Huty. Efektem ich pracy jest obraz krakowianina drugiej dekady XXI wieku w pięciu fascynujących odsłonach.

Bez dwóch zdań – temat miejsca zamieszkania, przestrzeni rodzinnej i miejsca intymnego wypoczynku obywateli wielkich miast to nie tylko zagadnienie uniwersalne, ale także temat poruszany przez wielu artystów współczesnych. To ich wizja mieszczańskiego domu, zarówno sprzed 100 lat, jak i współczesnego, jest prezentowana na wystawie.

A czy kierują nami podobne gusta, czy poszukujemy komfortu i wygody, czy stajemy się niewolnikami otaczających nas przedmiotów?

Na te pytania musimy odpowiedzieć sobie sami.

A na koniec, niestety, wypadłoby zadać jeszcze jedno trudne pytanie: ale gdzie są dziś ci mieszcianie, którzy zabiegają o wolną sztukę, tak jak wielu przed stu laty?

Czy już wszystko oddano Państwu, ewentualnie – wydziałowi kultury dowolnego magistratu?

Zapraszamy, by każdy mógł sprawdzić, jakie emocje wywołuje współcześnie centrum miasta.

Przetestuj swoją wrażliwość.



Witold Bereś – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Mieszczanin, wystawa – Kamienica Hipolitów
15.05.2019– 27.10.2019





Artysta osobny

Tekst: Jakub Wydrzyński Zdjęcie: Alicja Rzepa

Grzegorz Stec, jeden z najciekawszych współczesnych malarzy polskich obchodzi właśnie 40-lecie swej malarskiej twórczości.

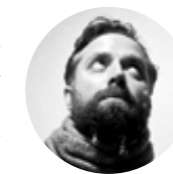
Redakcja „Krakowa” w całości, i każdy z jej dziennikarzy z osobna, przyłącza się do życzeń wszystkiego najlepszego.

Twórczość Steca zajmuje osobne miejsce na mapie polskiej sztuki współczesnej. Umiejscawiany jest między abstrakcją a figuracją. Od lat prowadzi ukryty dialog z wielkimi mistrzami malarstwa europejskiego, takimi jak Bacon, Boecklin, Bosch, Brueghel starszy, Dürer, Ensor, Goya, Grünewald, Rembrandt, Velázquez. Wrażliwość artystyczna Steca ma też ujście w jego twórczości literackiej. Swoim mistrzom poświęcił cykle poetyckie. Ważny jest dla niego warsztat. Tematem, który od dawna fascynuje artystę, jest ukazanie światła w obrazie. Jak sam tłumaczy: „Uważa się, że jednym z najtrudniejszych problemów malarskich i warsztatowych jest namalowanie światła zawieszzonego w powietrzu. Czegoś, co się wydaje niematerialne. A światło przecież jest materią. Samo w sobie jest treścią, tworzy najbogatsze spektakle. Jest sugestią doświadczeń metafizycznych. Udało mi się wypracować w technice olejnej sposoby wizualizacji czystego światła. Świadomie porzuciłem kolor, bo kolor to światło odbite od przedmiotu”.

Artysta reprezentuje typ sztuki duchowej. Eksploatuje tematy apokaliptyczne, metafizyczne pejzaże, wizje zrodzone z podświadomości. Operuje językiem metaforycznym, często posługując się motywem tłumy. Zdeformowane mrowia, masy ludzkie walczące

o łupy, napierające na siebie, opętane atawistycznym lękiem czy pędem śmierci. Obrazy Steca przedstawiają teatr świata, atakują widza barokowym bogactwem detalu oraz feerią barwy i formy. Technika Steca rozciąga się między pozornie chaotycznym, spontanicznym komponowaniem napięć emocjonalnych a precyzją, wręcz benedyktyńskim skupieniem w budowaniu części składowych płótna. Prace te wymagają dłuższego obcowania, by odkryć złożoność światów, które buduje artysta. Po czasie odkrywamy ich tajemnicę oraz niesamowitość głębi. Przypominają żywe tkanki obserwowane przez soczewkę mikroskopu.

„Fascynuje mnie artysta w kryzysie – mówi Grzegorz Stec. – Kiedy wątpię w sens tego, co robię, a zdarza się to często, próbuję sobie wyobrazić, jaki byłby świat bez malarstwa, jakkolwiek je rozumieć”.



Jakub Wydrzyński – człowiek wielu zawodów i pasji, kulturoznawca, wieczny doktorant, naturalizowany krakowianin, właściciel psa kawiar-nianego Stolika.

Grzegorz Stec – (ur. 1955, Kraków), w latach 1976–1981 studiował na krakowskiej ASP. Dyplom na Wydziale Grafiki u prof. Włodzimierza Kunza, malarstwo studiował u prof. Jana Świdorskiego. Mieszka w Krakowie, jest członkiem Okręgu Krakowskiego ZPAP. Uprawia głównie malarstwo. Miał ponad 60 wystaw indywidualnych w Polsce i za granicą (USA, Szwecja, Francja, Niemcy).

Przez wiele lat wystawiał w USA. W latach 1996–2002 rezydent The Society for Arts w Chicago, w latach 2007–2009 wystawiał w Nowym Jorku. Obrazy artysty znajdują się w zbiorach muzealnych oraz prywatnych kolekcjach w Polsce i za granicą. Grzegorz Stec jest również poetą, wydał dwa tomiki poetyckie: *Nikt tu nie szuka odpowiedzi* (1999) oraz *Melencolia* (2007).

Malarz i poeta

Tekst: Witold Beres

Czy tobie też zagrażało piękno? (...) /
Czy byłeś wtedy najślabszym
i najodważniejszym z ludzi?
Czy byłeś nagle starcem
z rączką dziecka ukrytą na piersi?

To jeden z wierszy Grzegorza Steca, znaczącego współczesnego... malarza. No i krakusa. Tworzy na wielu polach już od 40 lat, a dziś z okazji tak zacnego jubileuszu trwa jego wystawa w Nowohuckim



Centrum Kultury. Co równie ważne ukazał się znakomity album podsumowujący jego aktywność malarską.

A że malarz jest także poetą i jego wiersze, rzecz można, akompaniują obrazom, więc w księdze znalazły się i one.

Obrazy Steca pozornie budzą grozę. Ale to tylko pozory. To raczej wstrząs, drżenie mijającego czasu zniemacka przebiegającego po

karku. To raczej pokazanie demonów, które nas otaczają, ale którymi twórca nie epatuje.

Krytyk sztuki Marek Sołtysik w eseju o malarstwie Grzegorza Steca zamieszczonym na łamach tomu zauważa: „Nie wiem, na ile udaje się Stecowi malarzowi sprostać projekcjom wewnętrznym Steca wizjonera, na pewno jednak obecna na jego płótnach esencja spraw tajemniczych, a jednak mających związek z naszą rzeczywistością, pozwala wierzyć w autentyczność tego artystycznego (nie tylko) świata. Bogactwo środków warsztatowych gwarantuje trwałość jego ponadczasowego malarstwa, a siła wizji i sugestywność większości obrazów przywołuje twórcze, duchowe i jakościowe powinowactwa z twórczością Francisca Goi i Salvadora Dalego, Józefa Gielniaka i Tadeusza Brzozowskiego”.

Autor poniżej podpisany, czując się nieco jak prostacki pożeracz piękna, doda od siebie na koniec: – To musicie zobaczyć.

Jak dobrze, że poza wystawą jest ten album – on zostaje. To zresztą naczelny sens takich dzieł – one zostaną w ręku, podczas gdy obrazy rozpląną się gdzieś na falach współczesnej kultury w całym świecie.

*

Honorowy patronat na tytułem objęli dr Małgorzata Jantos (przewodnicząca Komisji Kultury Rady Miasta Krakowa) i prof. Stanisław Tabisz (rektor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie). Projekt wsparli prezydent miasta Krakowa profesor Jacek Majchrowski, Zbigniew Grzyb, dyrektor Nowohuckiego Centrum Kultury, Joanna Warchoł, prezes Związku Polskich Artystów Plastyków Okręgu Krakowskiego. Kuratorką wystawy jest Joanna Gościej-Lewińska.

Miesięcznik „Kraków” jest partnerem medialnym wystawy i tomu.

Grzegorz Stec. Czterdziestolecie. Malarstwo, red. Gabriela Matuszek-Stec, Kraków 2019



Witold Beres – producent filmowy, scena-rzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Muzycy na dużym ekranie

Tekst: Paweł Kopeć



Kadr z filmu Powrót Kate Nash, reż. Amy Goldstein / zdjęcie: KFF

Historia zna przypadki muzyków, których biografia była bardziej zajmująca od ich twórczości. Czy takie historie zobaczymy na DocFilmMusic? Również. Zaraz obok biografii gwiazd, których muzyki nikomu nie trzeba przedstawiać.

Tegoroczny oscarowy (oraz komercyjny) sukces *Narodzin gwiazdy*, *Bohemian Rhapsody* oraz *Green Booka* nie pozostawia wątpliwości: widzowie uwielbiają historie muzyków. Choć to oczywiście filmy fabularyzowane, oparte na biografiach gwiazd estrady – to popularność tę widać także w obszarze filmów dokumentalnych. Pewnie dlatego najmłodszy element Krakowskiego Festiwalu Filmowego – konkurs DocFilmMusic – po zaledwie siedmiu latach (w skali 59 lat istnienia festiwalu) jest jedną z najbardziej obleganych sekcji festiwalu.

Krakowski Festiwal Filmowy, a właściwie Ogólnopolski Festiwal Filmów Krótkometrażowych, jak nazywał się pierwotnie, to jedna z najstarszych w Europie imprez poświęconych filmom dokumentalnym. Jego pierwsza edycja miała miejsce w 1961 roku w formie festiwalu polskich produkcji, by już trzy lata później rozszerzyć formułę o konkurs międzynarodowy. Impreza szybko zyskała status ważnego wydarzenia w ogólnopolskim kalendarzu filmowców. Dziś, jako jedyna impreza w Polsce dysponuje prawem

do kwalifikowania do Oscara w kategorii dokumentów pełnometrażowych.

Tegoroczny konkurs DocFilmMusic prezentuje 10 produkcji z całego świata poświęconych muzykom znanym i mniej znanym. O tak szerokim wachlarzu tematów świadczą prezentowane tytuły: z jednej strony *Steven Tyler. Nowy rozdział*, poświęcony charyzmatycznemu liderowi grupy Aerosmith, czy *Miles Davies: ikona jazzu*, stworzony z niepublikowanych wcześniej materiałów – wywiadów i sesji nagraniowych amerykańskiego mistrza trąbk. Z drugiej zobaczymy między innymi *Powrót Kate Nash*, historię młodej brytyjskiej artystki, która zrezygnowała z kariery, by głośniej wybrzmiał jej głos sprzeciwu wobec nierówności płci w branży muzycznej – w ten sposób chciała zachęcić inne młode kobiety do walki o swoje prawa. Reżyser zwycięskiej produkcji otrzyma statuetkę Złotego Hejnału oraz 20 tys. zł.

59. Krakowski Festiwal Filmowy zaprasza w dniach 26.05–02.06.2019

Etnomusical w najlepszym wydaniu

Tekst: Iga Dzieciuchowicz Zdjęcie: Adam Gryczyński / za wiedzą i zgodą NCK



„Spektakl pozostawił nas bez słów”, „Definicja piękna w czystej postaci”, „Nie potrafię o niczym innym dzisiaj myśleć, spektakl zawładnął moją wyobraźnię” – to tylko niektóre recenzje widzów *Bursztynowego drzewa*, najnowszej propozycji Art Color Ballet. To jedno z tych przedstawień, którego ominięcie jest grzechem.

Niezwykle plastyczny, oniryczny spektakl, łączący w sobie taniec, muzykę na żywo i prasłowiańską duszę, będzie można zobaczyć 10 i 11 maja w Nowohuckim Centrum Kultury. To kolejne po *Kryptonimie 27* i *Preludium słowiańskim* przedstawienie w reżyserii Agnieszki Glińskiej, które powstało na przecięciu kilku gatunków teatralnych i muzycznych. Tym razem Glińska zaprasza widzów w niezapomnianą podróż przez dzieje – wraz z dawnymi ludami przemierzającymi Europę eksploruje świat, którego dziś nie sposób nawet dotknąć. Świat ten zmartwychwstaje w poetyckich sekwencjach złożonych z ruchu ciała, sztuki bodypaintingu, muzyki na żywo (w tle słychać nawet kołatki!) i scenografii, która dopracowana w każdym szczególe przypomina przedziwny, pradawny sen. Reżyserka odkrywa przed widzami wybitne wokalizy Joanny Słowińskiej i Karola Śmiałka, a także piękno ludzkiego ciała – wszystko to tworzy

obrazy, które pozostawiają odbiorcę w estetycznym oszołomieniu. Integralną częścią spektaklu są wizualizacje, które nadają przedstawieniu wyjątkowy rodzaj rytmu. Agnieszka Glińska tak pisze o spektaklu: „Tu prowadzą ścieżki wydeptane przez ludy ziemi, pień jest filarem, źródła zasilają korzenie, gałęzie snują własną opowieść, każda ma swój czas i osobliwą historię”.

Kto nie widział ani jednej produkcji Art Color Ballet, ten nie wie, co traci. A można się naprawdę uzależnić. Koniecznie trzeba zobaczyć!

Bursztynowe drzewo, 10 i 11 maja, godz. 19.00, NCK.

Reżyseria, scenariusz, choreografia: Agnieszka Glińska, teksty: Jan Słowiński, muzyka: Stanisław Słowiński, śpiew: Joanna Słowińska, śpiew i recytacje: Karol Śmiałek, produkcja: Nowohuckie Centrum Kultury.

Jazz na halach

Tekst: Paweł Kopeć



Jesteś fanem jazzu? Nie masz pomysłu, jak spędzić majówkę? W Zakopanem czeka na Ciebie prawdziwa gratka: tu wystąpią między innymi Mike Russel, Stanley Breckenridge czy zespół Laboratorium.

Wiosna przejmująca kontrolę nad pogodą i krajobrazem po zimowych miesiącach oznacza także, że muzycy jazzowi mogą opuścić swoje naturalne środowisko: kluby i piwnice, by zaprezentować się słuchaczom w plenerze, na każdej wysokości nad poziomem morza. Taką filozofią kierują się organizatorzy festiwalu Jazzowe Zakopane. Tu wiosna jazzowa za hasło imprezy przyjmuje: „Jeśli jazz na szczytach, to tylko w Zakopanem”. Choć prawdopodobnie na świecie znalazłoby się kilka miejsc kwestionujących wyłączność Zakopanego na granie jazzu w górach, to niewątpliwie bliskość Tatr sprawia, że klimat imprezy od lat cieszy się uznaniem tak wśród fanów, jak i występujących artystów.

Tegoroczną odsłonę festiwalu otworzą koncerty gości zza morza: Mike’a Russela, amerykańskiego gitarzysty łączącego w swojej twórczości blues, jazz, funk i soul, oraz Chico Freemana, saksofonisty, który w swoim CV może pochwalić się występami u boku takich gigantów jak Wynton Marsalis czy Tomasz

Stańko. Wśród zagranicznych gości festiwalu warto wymienić także muzyków, którzy dotrą do Polski przez naszą południową granicę: czeską grupę J.J. Jazzman, Funny Fellows ze Słowacji oraz Węgrów z Stroyville Jazz Band. W programie oczywiście znajdziemy najwięcej wykonawców z Polski: obok młodych zespołów, takich jak trio Kuby Więcka, usłyszymy wiele nazwisk o ugruntowanej pozycji na rodzimym rynku: saksofonistę Wojtkę Staroniewiczza, Mariannę Wróblewską w duecie z Wojciechem Kamińskim czy mistrzów polskiej sceny *fusion*, zespół Laboratorium.

Jazzowe Zakopane to także wydarzenia towarzyszące: poczynając od parady, która przechodzi ulicami Zakopanego, poprzez warsztaty wokalne prowadzone przez Stanleya Breckenridge’a, a na Pikniku Jazzowym kończąc. Pełny program imprezy na stronie internetowej www.festiwal.zakopane.pl.

Jazzowe Zakopane, 16. Wiosna Jazzowa/United Europe Jazz Festiwal, 26.04–05.05.2019



Barbara Kurdej-Szatan (Roxie Hart) i Sabina Karwala (Velma Kelly)

Szlachetne rozrywki Variété

Tekst: Paweł Kopeć Zdjęcia: Łukasz Popielarczyk/za zgodą Teatru Variété

Krakowski Teatr Variété to miejsce kulturowego sukcesu – widzowie walą drzwiami i oknami. I nikomu nie przeszkadzają opinie zblazowanych krytyków, że teatr za drogi, że to już w Krakowie mamy.

Już ciemno. Tu i tam słycać jeszcze szmery rozmów, lecz i one milkną uciszone trzecim dzwonkiem. Widownia pełna, tak jak wypełnia się na każdej kolejnej odsłonie, choć od premiery minął ponad rok. Wreszcie reflektor: oto historia o zbrodni, pożądaniu i powodzeniu! Skryta w półmroku orkiestra wygrywa pierwsze takty: „Słuchaj no, jak co noc woła nas – ten cały jazz!”

I już w Chicago, Ameryce lat 20., gdzie show-biznesem rządzą pieniądze, seks i sensacja – no i jazz, oczywiście. Wodewil, kabalet, farsa – to w dużych dawkach proponuje najmłodsza krakowska scena, teatr Variété. Niewiele brakowało, a nigdy by nie powstała – ponieważ Kraków długo nie chciał zrozumieć, o co chodzi „w tym całym jazzie”.

Jazz

Marzenie Janusza Szydlowskiego, pomysłodawcy i dyrektora Variété, o teatrze muzycznym w Krakowie kiełkowało razem z wolną Polską. – Po wyjeździe do Włoch, tuż po zakończeniu stanu wojennego, zostałem zaproszony do Londynu, aby zagrać główną rolę Kandyda według Woltera w reżyserii Macieja Wojtyszko i tam właśnie zetknąłem się z teatrem musicalowym. Już w szkole teatralnej interesowało mnie coś, co nazywam „szlachetną rozrywką” – wszystkie formy związane ze śpiewem i piosenką aktorską. Mieszkając zaś w Londynie, miałem okazję bywać na West Endzie i zachłysnąłem się gatunkiem. Postanowiłem, że jeżeli wrócę do rodzinnego Krakowa, to założę teatr *par excellence* muzyczny, jakiego w tym mieście ewidentnie brakowało – wspomina Szydlowski.

Choć miasto nie narzeka na niedostatek teatrów, to rzeczywiście długo nie było tu sceny typowo muzycznej. Ze względu na swoją specyfikę i wyższe koszty utrzymania, niewiele jest takich obiektów w całym kraju. Fani musicali przez lata kursowali głównie między Warszawą (teatr Roma i Studio Buffo), a Gdynią (Teatr Muzyczny), natomiast w Krakowie nie mieli czego szukać.

Pierwsze oficjalne wzmianki o możliwości powstania teatru pojawiają się w 2003 roku, jednak realnych kształtów sprawa nabiera trzy lata później. To wtedy miasto odkupuje od prywatnego właściciela budynek dawne kino Związkowiec przy ulicy Grzegorzeckiej. Wybudowany jeszcze przed wojną, przez lata PRL-u służył za dom kultury pracownikom pobliskich Zakładów Fabryki Maszyn, Kotłów i Wagonów. Położony na uboczu lokal nie poradził sobie w warunkach wolnorynkowych i w połowie lat 90. zakończył działalność. – Jak zobaczyłem okno sceny, to – mimo że obiekt był ruiną – poczułem, że tu chcę robić teatr, że tu jest dobry duch. Postanowiłem, że to miejsce wskrzeszę – opowiadał Szydlowski „Gazecie Krakowskiej” przy okazji otwarcia teatru.

Pieniądze

Prace remontowe ciągną się długo, ponieważ w miejskiej kasie co rusz brakuje pieniędzy na tę inwestycję. Radni krytykują wysokie koszty, zwłaszcza że przyszedł dyrektor domaga się kolejnych korekt w projekcie: a to wzmocnienia fundamentów, a to sprowadzenia specjalnych foteli z Barcelony, a to żyrandoli z Mediolanu. Scena zostaje przebudowana: po lewej stronie jest rozbudowana kieszka, powstaje zapadnia, a na drugim planie podwyższenie dla muzyków.

Łączny koszt prac związanych z remontem i wyposażeniem obiektu nieco przekracza 21 milionów złotych. – Nie mogłem się zgodzić na półśrodki: musiało być genialne światło, genialne nagłośnienie, rozbudowane zaplecze techniczne. Ludziom, gdy przychodzą do teatru musicalowego, musi opaść szczęka: to ma bawić, oczarować widza – tłumaczy się Szydlowski.

Wielu radnym natomiast jest to nie w smak. Podnoszą się głosy, że podobne atrakcje zapewnią Krakowowi teatr Bagatela, że kolejny teatr to tylko niepotrzebne wydatki. Wśród krytyków teatru głośno słycać między innymi radną Małgorzatę Jantos (dzisiaj Koalicja Obywatelska) i Łukasza Wantucha (Przyjazny



Scena z piosenką *Cell block tango*

Janusz Szydłowski, twórca teatru, już w szkole teatralnej marzył o czymś, co nazywa „szlachetną rozrywką” – teatrem związanym ze śpiewem i piosenką aktorską.

wia *Nocne Variété* zniknęła z afiszy po trzech pokazach), frekwencja utrzymuje się na poziomie ponad trzech czwartych zapewnienia sali. Natomiast sukces *Chicago* kolejnego musicalu po *Blondynce*, ostatecznie wybija krytykom broń z ręki.

Akcja musicalu toczy się w tytułowym mieście w czasie prohibicji i opowiada historię kobiet-morderczyń: Roxie Hart, oskarżonej o zamordowanie kochanka, oraz Velmy Kelly, podejrzanej o zabicie siostry i męża. Zarówno ich pobyt w więzieniu, jak i proces stanowią ponuro-wesołą satyrę na system sądownictwa, na goniącą za sensacją prasę i brutalny świat „show-bizu”, w którym nie liczy się talent, lecz pieniądze.

Opowieść o *Chicago* w *Variété* należy zacząć od choreografii przygotowanej przez Ewelinę Adamską-Porczyk, która bez cienia wątpliwości stanowi najmocniejszy punkt spektaklu. Już otwierający spektakl *Cały ten jazz* zapowiada, że widza czeka prawdziwa uczta dla zmysłów. Spektakl Wojciecha Kościelniaka nie zwalnia tempa, a teksty w tłumaczeniu Wojciecha Młynarskiego naturalnie wpasowują się w oryginalne melodie. Paradoksalnie wypadają dużo naturalniej niż dialogi mówione – te nierzadko brzmią sztywno, a widz zachodzi w głowę, czy to wina tekstów czy aktorów. Jednak musical stoi w pierwszej kolejności śpiewaniem i muzyką, a tu *Chicago* wypada doskonale.

Małgorzata Jantos: – Ten teatr jest nierówny. Potrafi stworzyć świetny spektakl, taki jak *Chicago* albo *Opera za trzy grosze*, by potem zafundować rewiew na poziomie licealnej akademii – żżyma się radna.

Zarówno *Chicago*, jak i *Opera za trzy grosze* (reżyseria Jerzego Jana Połońskiego), która na afisze weszła w styczniu tego roku, to duże musicale i głosy recenzentów potwierdzają, że ta forma najlepiej się w *Variété* sprawdza.

Nie deliberując zatem nad miarę, zacytujmy Billego Flynna z *Chicago*: „Dajmy się oczarować Broodwayowi”.

Krakowskiemu Broodwayowi.

przyjęciem krytyki. Nie kończą się też spory o pieniądze: radni kwestionują wysokość dotacji, jaką otrzymuje teatr.

Janusz Szydłowski: – *Variété* jako teatr impresaryjny nie ma stałego zespołu aktorskiego – angażujemy konkretne osoby do konkretnych spektakli. Konieczność ciągłego dopasowywania grafiku do teatrów, w których nasi aktorzy mają etaty, wymusza pewne ograniczenia. Produkcje teatru musicalowego są o wiele droższe niż spektakle w tradycyjnej formie.

Opinii krytyków nie dzielają widzowie: pomijając wpadkę (bo i taka się zdarzyła – re-



Paweł Kopeć – gdańszczanin na poniewierce, aspirujący komparatysta, językoznawca i polonista. Kolekcjoner płyt winylowych.

Kraków) – ten drugi jeszcze w 2017 roku sugeruje, że teatr należy zamknąć. Jednak zapytani, jak dzisiaj oceniają działalność teatru, nie mówią już tak stanowczo. – Choć długo byłem sceptyczny, po obejrzeniu kilku spektakli zmieniłem zdanie. Każda instytucja kultury jest instytucją deficytową, a obecny wkład miasta w działalność *Variété* uważam za adekwatny – przekonuje Wantuch.

Mimo wszystkich kłopotów Szydłowski dopina swego: na wiosnę 2014 roku rada miasta powołuje go na stanowisko dyrektora nowego teatru. Inauguracyjna premiera planowana jest z takim rozmachem, z jakim

urządzany był budynek: *Variété* wykupuje licencję *Legalnej blondynki*, musicalu niewystawianego wcześniej w Polsce, a do reżyserii zaprasza Janusza Józefowicza, który stał za sukcesem *Metra*, pierwszego polskiego musicalu po transformacji ustrojowej. Premiera odbywa się 31 maja 2015 roku. Po ponad 12 latach starań Janusz Szydłowski realizuje swoje marzenie.

Show

Legalna blondynka, podobnie jak będzie z kolejnymi spektaklami, jednocześnie spotyka się z entuzjazmem publiczności i chłodnym

Maj 1919 roku



Grzegorz Stec
Melancholia, olej, 30 x 40 cm

✂ **1 maja.** Z kroniki „IKC”: „Stworzenie przemysłu grzybowego na wielką skalę w Polsce będzie zadaniem Towarzystwa Grzyboznawczego, którego zebranie konstytuujące odbędzie się w Bursie Przemysłowej (ul. Lenartowicza 4)”.

✂ **1 maja.** „Wiec stróżów zgromadził onegdaj w Domu Robotniczym około 1000 uczestników. Prezes Związku p. Gołąc zagaił obrady poczym, po dłuższej ożywionej dyskusji uchwalono rezolucję domagającą się załatwienia przez Sejm ustawy o stróżach” – relacjonował reporter „IKC”.

✂ **1 maja.** „Ślub dra Bolesława Rozmarynowicza z p. Zofią Kowenicką, córką lekarza, odbył się w Krakowie dn. 29 kwietnia w kościele OO. Karmelitów na Piasku” – odnotował „IKC”.

✂ **2 maja.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Wczoraj w dniu 1 Maja odbyło się na pl. Na Groblach zgromadzenie socjalistyczne. Z trybuny przybranej w czerwone sztandary przemawiali m.in. pos. Emil Bobrowski i pos. Bolesław Limanowski. Uchwalono rezolucje z żądaniem polskiej republiki socjalistycznej oraz wymierzone przeciw »reakcyjnemu« Sejmowi. Następnie pochód z muzyką kolejarzy i elektryczni miejskiej udał się na Rynek”.

✂ **2 maja.** Z tej samej kroniki: „Wczoraj od rana sklepy były zamknięte. Dokonał tego terror socjalistów, którzy rano obchodzili sklepy, kawiarnie i restauracje, wymuszając ich zamykanie i zwolnienie personelu. Podczas zgromadzenia na pl. Na Groblach sześciu delegatów socjalistycznych weszło do Gimnazjum św. Anny z żądaniem zaprzestania nauki. Profesorowie odpowiedzieli im, że święto pracy będą czcić przez pracę”.

✂ **2 maja.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Miejskie budownictwo zawiadamia, że od dnia 1 maja ul. Podwale na przestrzeni od wylotu ul. Karmelickiej do ul. św. Anny, będzie zamknięta dla ruchu kołowego z powodu budowy nowej nawierzchni”.

✂ **2 maja.** Ta sama kronika przyniosła przynębiającą wiadomość: „Onegdaj zawezwano Pogotowie Ratunkowe na ul. Szeroką na Kazimierzu, gdzie w ruderze pod numerem 17, w ciemnej norze zauważył przy świetle świecy lekarz leżącego bez bielizny na łóżku trupa człowieka, wynędzniałego i wygłodzonego. Jak się okazało, był to Szczepan Kotek, który według opowiadań sąsiadów od kilku dni nie wychodził i prawdopodobnie z powodu wycieńczenia zakończył życie”.

✂ **3 maja.** „IKC” zamieścił imienną listę lichwiarzy. Zasądzone kary grzywny i więzienia dotknęły nie tylko spekulujących żywnością i używkami, ale też m.in. sprzedawcę krochmalu czy rękawiczek...

✂ **3 maja.** „Nauka jazdy na rowerze rozpoczęła się w Sokole z dniem dzisiejszym. Wpisy

przyjmuje kancelaria Sokoła, prócz niedziel i świąt” – zachęcała „Nowa Reforma”.

✂ **4 maja.** Anons z „IKC”: „Poszukuję współników do przedsięwzięcia wydawniczego stojących na gruncie niezależnym – zgłoszenia pod »Veritas« do administracji Kuriera”.

✂ **4 maja.** Dzienniki obficie informowały o obchodach święta 3 Maja. Kulminacyjnym punktem obchodów było zasadzenie Dębu Wolności na klombie przed Collegium Novum.

✂ **5 maja.** Z kroniki „Czasu”: „Wczorajszej nocy skradziono 15 królików z zakładu szpitala epidemicznego, które były zaszczepione na ospę, wściekliznę, nosaciznę, cholera i dżumę. Ostrzega się przed kupowaniem przez jakiś czas królików w Krakowie i okolicy”.

✂ **6 maja.** „Sekcja wioślarska Akademickiego Związku Sportowego oddała do użytku członków nową przystań nad Wisłą przy ul. Zwierzynieckiej (wchód przez furtkę i schody przy moście Dębnickim). Tamże przyjmuje się codziennie między godz. 6 a 7 wieczór, wpisy pań i panów. Liczba członków ograniczona” – zachęcał „IKC”.

To pomyłka w adresie. Przystań AZS-u mieściła się na początku ul. Kościuszki, na dzisiejszym skwerze Lajkonika. Wszystkie stojące tam budynki ucierpiały po wysadzeniu mostu Dębnickiego i usunięto je po ostatniej wojnie.

✂ **9 maja.** Z kroniki „Czasu”: Dnia 6 bm. znaleziono na pl. Na Groblach konia przywiązane do poręczy. Właściciel konia może zgłosić się na policję po odbiór”.

✂ **10 maja.** Anons z „Nowej Reformy”: „Osoba w średnim wieku wyjedzie, najchętniej do Rabki. Może zająć się chorą osobą, dziećmi lub zarządzeniem domu, umie szyć i fryzować. Zgłoszenia ul. Szlak 49”.

✂ **10 maja.** O poważnej kradzieży donosił „Głos Narodu”: „Wczorajszej nocy nieznanymi sprawcami włamali się do zakładu obłąkanych w Kobierzynie, rozbili kasę ogniotrwałą i skradli z niej 170 tys. koron”.

✂ **15 maja.** „Jedną z najdotkliwszych plag trapiących ludność Krakowa jest kompletny brak bielizny. Nie ma jej zupełnie w handlu. Zasnobi nawet ludzie donoszą resztki zapasów z lepszych czasów, mniej zasobni chodzą w strzępach imitujących bieliznę. Na porządku są wypadki, że do lekarzy przychodzą pacjenci płci obojga bez bielizny pod wierzchnim okryciem. Urząd odzieżowy ma obowiązek dopilnować, by do kraju naszego skierować dowóz bielizny z krajów koalicji i z Ameryki, gdyż katastrofalny brak tego artykułu przyczynia się do szerzenia chorób nagminnych” – ubolewała „Nowa Reforma”.

✂ **16 maja.** Dzienniki zachęcały do odwiedzenia zorganizowanej w lokalu Związku Artystów Polskich przy ul. Szpitalnej 21 wystawy poświęconej twórczości wybitnego malarza-



Kraków. Uniwersytet Jagielloński.

Na widokówce z 1924 roku, 5-letni i niespełna 5-metrowy Dąb Wolności nie robi jeszcze należytego wrażenia. Dorodne już drzewo wycięli hitlerowcy jesienią 1939 roku, widokówka, 1924, archiwum autora



Bolesław Ulanowski (1860–1919), prof. UJ, wybitny prawnik i historyk prawa, fot., ok. 1910, domena publiczna



Hotel Krakowski wraz z Łazienkami, stał u zbiegu ulic Dunajewskiego i Garbarskiej w latach 1862–1937, fot., 1933, NAC



St. Tondos pinx.

WESÓLYCH ŚWIĄT!

Rynek Główny i „targ na choinki” na akwareli Stanisława Tondosa, pocztówka, 1911, archiwum autora

-akwarelisty, piewcy Krakowa, Stanisława Tondosa (1854–1917).

✂ **16 maja.** „Rekwizycje mieszkań prywatnych na kwatery dla oficerów, wprowadza z dn. 15 bm. magistrat krakowski. Nie mniej zgłoszenia dobrowolne mieszkań są tym bardziej wskazane, że uchylających się od obowiązków wynikających z ustawy z dn. 12 kwietnia b.r. magistrat karać będzie aresztem do 3 miesięcy lub grzywną do 3 tys. marek. Zgłoszenia kwatery przyjmuje Biuro kwaterunkowe magistratu, II p. drzwi 21” – przypominał „IKC”.

✂ **16 maja.** Z kroniki „Czasu”: „Wczoraj Rada Miasta na tajnym posiedzeniu mianowała dyrektorów teatrów miejskich. Dyskusja była poufna. Dyrektorem Teatru im. Słowackiego został ponownie Teofil Trzciniński, na lat trzy. Dyrektorem Teatru Powszechnego ponownie Stanisław Jarniński, na lat trzy”.

✂ **19 maja.** „Nowa Reforma” donosiła o sensacyjnym pościgu: „Wczoraj wieczorem po przybyciu pociągu posługacz kolejowy Piotr Dolczak wyniósł rzeczy jednego z pasażerów, Stefana Ettingera (wartości 12 tys. koron), do dorożki. Kiedy czekał na p. E., by mu ją wskazać, nagle wskoczył do dorożki Władysław Giebułtowski i wyrwawszy woźnicę lejce, szybko razem z nim odjechał. Dolczak przytomnie wziął drugą dorożkę i dopędziwszy złodzieja oddał go w ręce policji”.

✂ **19 maja.** „Czystość w łazienkach naszych pozostawia wiele do życzenia. Prym pod tym względem wiedzie zakład łaźnienny w hotelu Krakowskim. W korytarzu błoto, w łazienkach brud, ma się wrażenie, że ta sama ścierka służy do wycierania tak podłóg, jak i wanien. Człowiek wszedłszy do przedziału, zaczyna dumać, czy może wobec obfitego gnoju zanurzyć swą doczesną powłokę w wannie odrapanej i obitej z emalii. Tego rodzaju szczyrby w razie użycia kąpieli mogą narazić na poważny szwank i okaleczyć nurzającego się szczęśliwca na całe życie” – nie przebierał w słowach reporter „IKC”.

Hotel Krakowski, mieszczący w parterowej części łazienki, stał u zbiegu ulic Garbarskiej i Dunajewskiego w latach 1862–1937. Zastąpił go budynek bankowy, wraz z częścią mieszkalną, ukończony w 1951 roku.

✂ **24 maja.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Dowiedujemy się, że w szpitalu garnizonowym na oddziale ocznym i chorób wewnętrznych znajduje się dwóch bolszewików żydów, którzy są jednak są na tyle zdrowi, że uprawiają propagandę bolszewicką. Zwracamy na to uwagę władz wojskowych”.

✂ **24 maja.** Z tej samej kroniki: „Ferdynand Mazanek, właściciel sklepu w Sukiennicach, jednemu z gości policzył za opakowanie w papier chleba 20 halerzy. Sprawa oparła się o sąd i kupiec za lichwą towarową skazany został na 14 dni aresztu i 6 tys. koron grzywny”.

✂ **25 maja.** „Wczoraj przed południem dyrekcja policji ogłosiła po wszystkich centrach

miasta przy odgłosie trąb, o zaprowadzeniu w Krakowie sądów doraźnych. Przypatrywały się temu tłumy publiczności” – odnotował „IKC”.

✂ **26 maja.** „Onegdaj w nocy nieznani sprawcy dostali się przez ogrody do willi prof. Ulanowskiego przy ul. Garncarskiej, korzystając z choroby właściciela. W czasie dwugodzinnego pobytu splądrowali mieszkanie, zabierając rzeczy wartości 5 tys. koron i wyszli z łupem bez przeszkód, mimo zbudzenia się mieszkańców i wołań o pomoc. Włamanie to przypomina, aby na przyszłość ul. Garncarska nie była pozbawiona w nocy straży policyjnej. Inaczej bezkarność rozzuchwali złodziei jeszcze bardziej” – przestrzegali „Głos Narodu”. *Willa prof. Bolesława Ulanowskiego, dziekana wydziału prawa UJ, stała w ogrodzie za murem przy ul. Garncarskiej 15. W latach 1968–1971 wzniesiono w tym miejscu nowe skrzydło Instytutu Onkologii.*

✂ **28 maja.** „Wczoraj w południe wezwano pogotowie na Mały Rynek w Podgórzu, gdzie Kazimierz Jarząbkowski, ślusarz, w chwili aresztowania go przez policję dostał tak silnego ataku szału, że bił wszystkich dookoła, nie zważając na żadne przeszkody. Furiata przewieziono na oddział obłąkanych Szpitala św. Łazarza” – relacjonował reporter „Nowej Reformy”.

Ówczesny Mały Rynek w Podgórzu, już od 1917 roku zmienił nazwę na pl. Zgody. Po raz kolejny przemianowano go w 1948 roku, na pl. Bohaterów Getta.

✂ **28 maja.** „W nocy z poniedziałku na wtorek włamali się nieujęci dotąd bandyci do zakładu »Rodziny Sierociej« na Zwierzyńcu, zabierając z zamkniętych szaf i komód 25 płaszczków zimowych, 40 koszul kolorowych, 40 ubrań zimowych, 40 ubrań letnich, 80 koszul płóciennych, nadto odzież wychowawczyń i służącej” – odnotowała „Nowa Reforma”.

✂ **28 maja.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „W niedzielę przybyły do naszego miasta dwa pociągi z jeńcami ruskimi. Są oni obdarci i w ogóle przedstawiają obraz nędzy. Umieszczono ich w obozie dla internowanych w Dąbiu”.

✂ **30 maja.** Dzienniki relacjonowały pożar, jaki wybuchł na lotnisku w Rakowicach od uderzenia pioruna w czasie burzy. Spłonęły dwa hangary, a w nich 10 silników samolotowych.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Poczta wyrusza z Krakowa

Tekst: Ewa Danowska

Początki regularnej komunikacji pocztowej sięgają czasów króla Zygmunta Augusta. Po śmierci matki, Bony Sforzy, uruchomił on 18 października 1558 roku stałe połączenie „za pomocą koni rozstawnych” między Krakowem i Wenecją, przez Wiedeń i Graz. Minęło już zatem 450 lat od chwili ustanowienia królewskiego przedsięwzięcia, potem stałej poczty polskiej.

Do tego czasu w Polsce, podobnie jak w innych europejskich krajach, władcy korzystali z komunikacji pocztowej organizowanej przez miasta. W tym celu używano zazwyczaj specjalnych pieszych posłańców lub wykorzystywano podróżujących w interesach kupców czy wędrownych mnichów. Kurierzy polskich królów rozwozili ich listy, zawiadomienia czy ogłoszenia.

Sytuacja w Polsce zmieniła się po śmierci królowej Bony Sforzy, wymuszona okolicznościami i potrzebami władcy. Jedną z przesłanek, jaką kierował się Zygmunt August, była konieczność utrzymywania stałego i pewnego kontaktu z Wenecją, gdzie toczył się proces o olbrzymi spadek po zmarłej królowej, która po czterdziestoletnim pobycie w Polsce wywiozła swój majątek do Włoch. Poza tym, w Neapolu, Rzymie, Wiedniu i Madrycie stale przebywali polscy dyplomaci, z którymi ważny był jak najszybszy kontakt. To ostatni z Jagiellonów utworzył instytucję, bez której niemożliwe jest budowanie nowoczesnego państwa.

Początki

Pierwszym dyrektorem polskiej poczty został inteligentny i przedsiębiorczy Prosper Provana, pochodzący z Piemontu, zaufany dworzanin króla Zygmunta Augusta, który w 1557 roku otrzymał polskie szlachectwo. Posłańcy pocztowi mieli stale kursować między Krakowem a Wenecją. Król zagwarantował pomieszczenie dla administracji poczty, zapewnił fundusze dla cursorów, czyli kurierów, i na zakup koni. Całość dochodów płynących z opłat przesyłek pocztowych od osób prywatnych Provana miał oddawać do skarbu królewskiego, przedstawiając rachunki również z ponoszonych wydatków. Jego wysoko wynagradzana funkcja była powodem zazdrości, a wskutek intryg po czterech latach stracił królewskie zaufanie.

Jego następcą został Włoch Krzysztof Taxis (Taxis), którego rodzina utrzymywała w swych rękach niemal wszystkie międzynarodowe połączenia w Europie. Krzysztof był wcześniej poczmistrzem, czyli dyrektorem poczty w Augsburgu, a następnie nadwornym poczmistrzem cesarskim. Za czasów pełnienia przez niego funkcji w Krakowie wyruszająca z miasta poczta dzieliła się na włoską i litewską – jeden kurs szedł bowiem do Wenecji,

a drugi do Wilna. Krzysztof Taxis zobowiązał się, że przesyłki królewskie, a także pochodzące od kanclerzego i podkanclerzego będą wolne od opłat. Poczta za czasów Taksisa przewożona była z Krakowa do Wenecji w ciągu 10 dni, do Wilna w ciągu najwyżej 7 dni. Od jego czasów z poczty korzystali nie tylko panujący, ale i prywatne osoby. Przesyłka do Wenecji kosztowała nadawcę 6 groszy, do Wiednia 3 grosze od jednego łuta (wówczas nieco ponad 12 dag)

**„Przysięgam Panu Bogu w Trójcy Świętej jedyńemu, iż na pocztarza będąc naznaczony, listy, pisma i sprawy wszystkie, [...] wiernie komu należą, oddawać będę powinien”.
(z przysięgi staropolskiego pocztowca)**

wagi przesyłki. W czasach króla Zygmunta Augusta za 6 groszy można było kupić 120 jaj, cztery kury lub pół korca (wówczas ok. 250 litrów) pszenicy, a buty kosztowały przeciętnie 11 groszy. Usługi pocztowe nie były więc tanie. Król zrezygnował z zatrudnienia Taksisa, gdy okazało się, że ten nie dotrzymywał umowy zapewnienia mu bezpłatnej komunikacji pocztowej z całą Europą.

Dyrektorzy poczty szybko się zmieniali, bo już w 1564 roku król powierzył to stanowisko zaprotegowanemu przez Provanę Piotrowi Maffonowi, z pochodzenia Włochowi, krakowskiemu mieszczaninowi i kupcowi, któremu w interesach nie wiodło się na ogół zbyt dobrze. Otrzymał przywilej powierzający mu na okres pięciu lat stanowisko dyrektora Poczty Królestwa Polskiego z pensją roczną 1500 talarów.

Najprawdopodobniej Maffon nie sprawdził się na tym stanowisku, skoro jeszcze przed terminem wygaśnięcia kontaktu król podjął rozmowy z jednym z najbogatszych krakowskich mieszczan Sebastianem Montelupim, który objął funkcję dyrektora w połowie 1569 roku. W jego rodzie – pochodzącym z Florencji, który z czasem spolszczył swe nazwisko na Wilczogórcy – funkcja dyrektora poczty utrzymała się prawie przez 100 lat.

Za czasów Sebastiana Montelupiego poczta z Krakowa do Wenecji wysyłana była co tydzień, do Wilna co trzy tygodnie, a kurierzy





Poczta polowa, rys. Henryk Pilati, drzeworyt J. Styfięgo

„Wesoło wieść pocztę! Zatrąbić na moście,
Tu kogoś się spędzi, tam spotka.
Tu wiozę panicza, tu młode jejmoście,
O! wtedy pewniutka dwuzłotka...!”

(Leszek Kondratowicz *alias* Władysław Syrokomla, *Pocztylion. Gawęda gminna*)

i poczmistrzowie nosili na swych ubraniach herb króla. Oczywiście, dla kursorów niezbędna była torba na przesyłki oraz trąbka. Siedziba Poczty Królewskiej Polskiej znajdowała się w kamienicy przy Rynku Głównym, dziś nr 7.

Po śmierci króla Zygmunta Augusta w 1572 roku stracił moc jego przywilej wydany Montelupiemu na prowadzenie poczty, więc ten zdecydował się ją prowadzić na własny koszt

jako prywatne przedsiębiorstwo, bowiem interes ten przynosił znaczne dochody. Tak było do czasów Stefana Batorego, który został przekonany przez żonę Annę Jagiellonkę, by pocztę znów oddać w gestię władcy. Wówczas Montelupi został jej dyrektorem i administratorem.

Sukcesy

Już po przeniesieniu dworu królewskiego do Warszawy król Władysław IV Waza w 1647 roku wydał ordynację pocztową, która była fundamentem działania tej instytucji aż do 1795 roku, czyli do końca istnienia Rzeczypospolitej. Wprowadził podatek, z którego miała być utrzymywana poczta jako instytucja państwowa, niezależna finansowo od króla i prywatnego kapitału. Część miast uchylała się jednak od jego płacenia, utrzymując własną pocztę kurierską.

Polska poczta rozwijała się dobrze, a król Stanisław August Poniatowski obejmując

tron, zastrzegł sobie czerpanie z niej dochodów, obiecując w zamian, „wygodę dla obywateli”. W tym to czasie rozbudowana została sieć pocztowa na terenie Polski – istniały wówczas 22 trakty o łącznej długości około 750 mil (czyli w przybliżeniu 5360 km). Wzdłuż traktów rozmieszczono około 200 stacji pocztowych, zawsze obok znajdowały się stajnie, by zabezpieczyć pocztylionom konie na zmianę. Stacje prowadzili poczmistrzowie mający status królewskich urzędników, każdy z nich nosił mundur, a nieodłącznym atrybutem pozostawała trąbka. Już od 1768 roku wprowadzono urzędowe stemple tuszowe, wzorowane na pieczęciach lakowych, co pozwalało na ustalenie miejsca nadania przesyłki. Za czasów Stanisława Augusta poczta podlegająca Komisji Policji była najlepiej zorganizowaną instytucją tego typu



w Europie i korzystały z niej nawet sąsiednie państwa.

Pod rozbiarami

Po trzecim rozbiórce Polski poczta znalazła się w rękach zaborców. Natomiast w czasie Wolnego Miasta Krakowa, od 1815 roku jej sprawy regulował artykuł XII traktatu dodatkowego zawartego w Wiedniu między Austrią, Prusami i Rosją. Zapewniono w nim wyłącznie państwu prawo do ekspedycji zapieczętowanych listów i pism, pakietów i pieniędzy oraz wyłączność na zorganizowanie regularnego ruchu pocztowego, połączonego z przewozem podróżnych. Centralny pocztamt znajdował się oczywiście w Krakowie, utrzymując ruch na czterech szlakach: warszawskim, lubelskim, częstochowskim oraz mogiłańskim, gdzie rozgałęział się w kierunku Lwowa i Wiednia. Przy szlakach istniało 30 pocztamtów i kilkanaście stacji, gdzie można było zmieniać konie.

Od 1836 roku pocztamt krakowski przestał istnieć, a w jego miejsce pojawiły się „Urząd

„Poczta to instytucja, dzięki której zdolni jesteśmy poinformować wszystkich, którzy nam zazdroszczą, że jest czego nam zazdrościć”. (Jerzy Wittlin)

pocztowy cesarsko-austriacki”, „Urząd pocztowy królewsko-pruski i „Główny zagraniczny urząd pocztowy polski”.

W pocztowym dyliżansie oprócz przesyłek przewożono też podróżnych, a miejsce w nim należało opłacić w przeddzień podróży. Na znak dany trąbką dyliżans wyruszał, przebywając milę drogi (około 8,5 km) w ciągu godziny.

Wiek XIX uznano w usługach pocztowych za stojący na „wysokim stopniu dokonaności”. W nieocenionym *Kalendarzu* Józefa Czecha ukazującym się od 1832 roku można znaleźć szczegółowe informacje dotyczące poczty w Krakowie. I tak, w 1879 roku podano najważniejsze informacje, na przykład że adres na kopercie musi być dokładny, list nie może ważyć więcej niż 15 łutów (czyli wówczas niespełna 19 dag), listy na *poste restante* nie mogą „zalegać” dłużej niż trzy miesiące. Podano dokładne stawki cenowe za listy rekomendowane, czyli polecane, a także gdzie należy prawidłowo przykleić markę pocztową, czyli znaczek. Ostrzeżono, że poczta przyjmować nie będzie do wysyłki materiałów łatwopalnych i zwierząt, z wyjątkiem pijawek leczniczych w ilości nieprzekraczającej 3 kg, w mokrych woreczkach lub podziurkowanych skrzyneczkach.

W Krakowie

Skrzynki pocztowe były wówczas w Krakowie rozmieszczone przy Rynku Głównym nr 14, 23 i 37, przy ul. Floriańskiej, Grodzkiej, na Małym Rynku, przy ul. Karmelickiej, Zwierzynieckiej, Podwale, na Kleparzu, przy ul. Kopernika, w Łobzowie przy szkole kadetów, a na Kazimierzu przy ul. Krakowskiej, św. Józefa i na placu Wolnica. Wyjmowanie przesyłek ze skrzynek odbywało się stosownie do odjazdów pociągów – rano o godz. 6 i 9, a po południu – o 2, wieczorem o 7 oraz pół do 9. Jak widać w porównaniu z obecnymi nam czasami – bardzo często.

Tak zatem poczta narodziła się przy dworze królewskim w Krakowie, przechodząc różne koleje losu i chyba trwać będzie zawsze, gdyż zawsze jest potrzebna.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!

Wąsate naczynia i pamięć

Tekst: Paweł Głowacki Zdjęcia: Piotr Lis (*Imię róży*), Krzysztof Bieliński (*Panny z Wilka*)

Piątek

Od premiery *Imienia róży*, seansu, który na dużej scenie Teatru Słowackiego Radosław Rychcik na kanwie legendarnej powieści Umberto Eco ulepił, minęło w sumie niewiele czasu, a człowiek już się gubi, już ogarnia go piętrowa niepewność. Na przykład, czy to, co krasi głowy wielu aktorów, to są tajemniczo owłosione na krawędziach naczynia nocnej ulgi, założone na aktorskie głowy lśniącymi denkami w górę jak hełmy, czy też chodzi jedynie o elementy chybionej charakteryzacji, nieudolnie małpujące postne uczesanie średniowiecznych mnichów, a tylko moja złośliwa pamięć zrobiła z elementów tych wąsate nocniki? Jorge Luis Borges, do którego jeszcze wrócę, w finale *Nocy darów* powiada: „Lata mijają, tylekroć opowiadałem tę historię, że nie wiem już, czy rzeczywiście ją pamiętam czy tylko powtarzam słowa na nią się składające”. Jeśli więc po przeszłości zostają tylko słowa, może dobrze zrobię, jak w jeden obrazek zlepię kilka moich słów i powiem, że ozdoby na aktorskich głowach to są po prostu uczesania średniowiecznych mnichów, przez scenograf Annę Marię Karczmarską zrobione z tego, co znalazła pod łóżkiem swojej babci? Jeśli bowiem to, co znalazła, odwrócimy denkiem w górę, otrzymujemy podobiznę ogolonej głowy.

Niedziela

Tak w *Imieniu róży* Eco, jak w *Pannach z Wilka* Jarosława Iwaszkiewicza, sednem jest – pamięć. Pamięć igrająca słowami. Wiktor, bohater Iwaszkiewicza, po piętnastu latach wraca do domostwa, w którym kiedyś był gościem codziennym, do kilku pięknych panien, które teraz, kiedy wraca, nie są już pannami. Co mu zostało z czasu przeszłego dokonanego? Słowa, po których cofa się w przeszłość, i zastany po latach piętnastu krajobraz odmienionych twarzy, ciał głosów, bezlitośnie ironiczny krajobraz. Adso z Melku, bohater Eco, ma już tylko słowa. Niegdzie bez nich nie wróci, nie odbędzie podróży, nie skonfrontuje czasów. Stareńki, na krawędzi końca swojego, spisuje w klasztornej celi intelektualne i cielesne przygody z epoki, kiedy był młodzieńcem. *Imię róży* jest powrotem Adsa. Jest głęboką na ponad 600 stronich genialną przepaścią, zaludnioną słowami, intonacjami i retorycznymi gatunkami, tym gigantycznym, falującym językiem, którym bawi się pamięć Adsa próbującego wrócić do realności, z której nic, zupełnie nic, poza znakami słów, już nie zostało. Nie ma powrotu innego niż snucie opowieści o powrocie, opowieści, której nie sposób wierzyć, ale też nie sposób nią gardzić, bo przecież z tego,

co było, zawsze zostaje tylko opowieść. Ona i może jeszcze kilka omszałych przedmiotów.

Poniedziałek

Stary stół w jadalnym, takie krzesła, taka sofa, takie półki z książkami i taka spiżarnia, pełna konfitur od wielu lat nieodkrytych. Niewiele

więcej rzeczy jest na scenie w *Pannach z Wilka*, przez Agnieszkę Glińską wyreżyserowanych na Scenie Kameralnej Narodowego Starego Teatru. Garść omszałych przedmiotów i widma, smakowicie grane przez Annę Radwan, Dorotę Segdę, Ewę Kaim, Paulinę Puślednik,

do końca nie ma takiej pewności, bo skądże ją brać, skoro Wiktor nie jest samotny?

Czwartek

Dwóch jest u Glińskiej Wiktorów. Młody (Szymon Czacki), ten sprzed piętnastu lat,



Imię róży – scena zbiorowa

Natalię Kaję Chmielewską i przez resztę aktorów. Mówię o widmach, nie o figurach cielesnych, gdyż w seansie Glińskiej od początku jest coś onirycznego, smak snu, przez kogoś śnionego. U Iwaszkiewicza Wiktor wraca realnie, pamięć jego naprawdę styka się z zastaną po powrocie rzeczywistością. U Glińskiej

i Wiktor dojrzały (Adam Nawojczyk). Słuchają siebie wzajem, rozmawiają z sobą, patrzą sobie w oczy, przyglądają się swoim gestom, swoim twarzom. Po piętnastu latach nieobecności razem wchodzą do domostwa widm i razem przeżykają nieuchronne fiasko powrotu, który nie może być prawdzi-

wy, bo to niemożliwe, skoro jest ich dwóch. Więc? O jakim powrocie da się mówić? Kiedy u Eco Adso wraca, pisząc – nie rusza się z miejsca. Snucie opowieści o świecie utraconym (snucie każdej opowieści) jest formą snu. Czy podwojony Wiktor wraca więc do Wilka, jedynie śniąc?

Piątek

Dwóch jest u Glińskiej Wiktorów, jak w dwóch opowieściach Borgesa dwóch Borgesów spotyka się w miejscu jednym – Borges stary i młody Borges. W jednym miejscu, lecz w dwóch czasach, które się zlepiły, co tylko we śnie jest możliwe. „Jeżeli ten ranek i to spotkanie są snem, każdy z nas z pewnością uważa, że to jego sen”, powiada jeden z Borgesów w opowieści *Tamten*. I dalej: „Może przestaniemy śnić, może nie przestaniemy. Tymczasem naszym obowiązkiem jest przyjąć ten sen tak, jak przyjęliśmy wszechświat i to, że nas poczęto, że do patrzenia mamy oczy i że oddychamy”. Niepokój tych słów jest niepokojem seansu Glińskiej. Jest niepokojem kilku ciemnych pytań. Który z Wiktorów jest „tamnym”? Który śni którego? Czy młodszy – siebie starszego, aby stworzyć dla siebie próbę generalną przyszłego powrotu do porzuczonego domostwa? Czy starszy – młodszego, aby móc się pocieszyć, kiedy za chwilę zapuka w drzwi domostwa w Wilku? Aby się sobą młodym pocieszyć, bo czuje, że niegdysiejsze panny, które spotka, będą rodzajem szyderstwa z samych siebie i z niego niegdysiejszego? Biorąc z oryginalnego opowiadania Iwaszkiewicza właściwie strzępy tylko i pięć razy, lecz w różnych intonacjach i rytmach, powtarzając wciąż od nowa scenę przyjazdu dwóch Wiktorów – Glińska ocala sedno opowieści Iwaszkiewicza. Snuje delikatną bajkę o daremności powrotów. A Rychcik?

Niedziela

U Rychcika wąsate nocniki spacerują po scenie, a udekorowani nimi aktorzy napuszenie klepią te Eco zdania, które układają się w tani kryminał. Nie tylko ozdoby aktorskich głów mają coś z dobrodusznego odpustu. Cały świat przedstawiony jest odpustowy. Klasztorne stalle, ołtarz, kuchnia mnichów, obraz święty, święta rzeźba, światła, skryptorium i reszta – wszystko skłania do myślenia o tekturze pomalowanej rzeźkami, pastelowymi farbami. Albo o komiksach dla dzieci – o przygodach Romka, Tomka i A'Tomka w starym klasztorze albo o Koziołku Matołku szukającym Pacanowa w bernardyńskich eremach. Słowem – jest miło, od początku, do końca. Jest wręcz miłutko. I do tego ten kryminał! Ta wartka akcja, prowadząca do odpowiedzi na kluczowe pytanie: „Kto zabił?”!

Poniedziałek

Owszem, wśród wielu nici *Imienia róży* jest też nitka kryminalna. Giną mnisi w klaszto-

rze. Giną tajemniczo – ich martwe palce jednej z dłoni, ich martwe języki i trupie wargi cechuje kolor siny. Co to znaczy? Kto zabija? Dlaczego zabija? Piekielnie logiczny Wilhelm z Baskerville, który do klasztoru przybywa z młodziutkim Adso, rozwikła zagadkę.

zakazaną księgę, polizanymi palcami obracają jej strony, których rogi ślepy, stary, zazdrosny o księgę mnich nasączył trucizną. Amen. Do takiej rewelacji sprowadzić *Imię róży* Eco, to mniej więcej tak, jakby z *Panien z Wilka* Iwaszkiewicza zrobić spektakl o sta-

Szkoda, że Rychcik nie zna tej prostej prawdy. Dobrze, że zna ją Glińska. Wbrew pozorom w tym przekonaniu Eco nie chodzi tylko o kryminalność i *Proces*. Chodzi zwyczajnie o to, by arcydzieł literatury nie obracać w płaski, tyci banał.



Panny z Wilka – scena zbiorowa

Tak. Lecz jakim cudem z książki Eco, z tego piętrowego traktatu o pamięci, języku, słowach, książkach i czasie utraconym, Rychcik zdołał wydłubać właściwie tylko mniszą aferkę kryminalną – tej tajemnicy fatalnej nawet Wilhelm z Baskerville by nie podołał. Jest zatem, jak jest. Mnisi giną, bo czytając

rym chłopie, który po latach wraca do kiedyś bliskiego sobie domu i zauważając, że wszystkie panny nieprzyjemnie się postarzały – jest szczerze zawiedziony. Eco powiada, że gdyby ktoś chciał czytać *Proces* Kafki jako powieść kryminalną, niech już lepiej wyrzywa z niego kartki i robi skręty.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.



Poezja spływa na mnie z gór

Rozmawiała: Elżbieta Wojnarowska Zdjęcie: Krzysztof Lis

ADAM ZIEMIANIN: „Poezja spływa na mnie w dwójnasób: z góry (z wyżyn niebieskich) i z gór, z zielonych wyżyn, które mnie tak urzekają. Nie wyobrażam sobie życia bez gór... Nawet w trudnych czasach byłem wewnętrznie wolny! Bo tylko wolność i miłość jest przepustką do Poezji.

Elżbieta Wojnarowska: Muszyna okazała się miejscem wyjątkowym dla poezji, urzekła wielu poetów... Jak ważna jest dla Ciebie?

Adam Ziemianin: Bardzo ważna. Tam wszystko się zaczęło. Dzieciństwo, świat do którego wracam. Zachwyty nad słowem, nad obrazem. Pierwsze chodzenie po omacku wokół poezji. Chodziłem tam swoimi drogami. Tam jest do dzisiaj mój dom rodzinny. Urzekło mnie, że o Muszynie pisał Jan Kochanowski. Że przyjeżdżał Harasymowicz, później już z grupą „Muszyna”. Tamta poezja była dla mnie odkryciem. Zaskakującym dlatego, że to nie były wiersze, jakie znajdowałem w podręczniku szkolnym. Tylko oparte na świetnej wyobraźni, na estymie dla słowa. I często bez rymu. Wtedy właśnie sam zacząłem zapisywać swoje myśli, a raczej przemyślenia.

Czyli Muszyna to był Twój matecznik?

Matecznik jako Kraina Poezji i Dobrych Ludzi. No i to, że tam udało mi się odnaleźć przekonanie, wręcz

odkryć, że świat jest niezwykły w swej finezji. Na swój sposób wolny. Świat pełen możliwości, ucieczki w przyrodę. Świat Natury.

Kapliczki, łemkowszczyzna, makatki, tematy, które wcześniej nie traktowano poważnie w poezji...

Tematy te były wcześniej całkiem pominięte. Kapliczki, Madonny, łemkowszczyznę odkrył Harasymowicz, nie tylko dla mnie. Białoszewski też lokował w nich swoje olśnienia i wielu innych poetów nie tylko z grupy „Muszyna”. To było otwarcie na świat tajemniczy, zagadkowy, a nieodkryty. Natomiast jeśli chodzi o makatki, mogę się uważać trochę za ich odkrywcę dla poezji. Widziałem w okolicznych domach, nie tylko muszyńskich, te makatki, koślawe, naiwne, nieporadne, czasem prymitywne. Ale miałem do nich słabość. Kiedy zjechałem na stałe do Krakowa, zrozumiałem, że tęsknota do tamtego świata makatkowego może zwyczajowość połączeniem go z poezją. Mimo że makatki ocierały się o kicz, starałem się

podnieść je na „wyższą półkę” do rangi poetyckiej, wydobywając zawarte w nich myśli, czasem z przekąsem czy przymrużeniem oka.

Ty też nie od razu odnalazłeś w sobie poezję... Kiedy to się stało?

Jako młody człowiek nie potrafiłem do końca odnaleźć się w małym miasteczku. Uciekałem więc w swój świat. Prowadziłem już wtedy swoje zapiski, do szuflady. Ta szuflada powoli się napełniała. A zapiski z czasem rozrastały się do wierszy. Dopiero w Krakowie zorientowałem się, że to jest to, co chcę robić na poważnie, a może i na stałe. Wysłałem kilka wierszy do „Życia Literackiego” i z nich jeden wybrano do druku (śmiech)...

Uczucia, emocjonalność są głównie czynnikami sprawczymi Twoich wierszy... Dlaczego?

Dla mnie w poezji najbardziej liczą się emocje! To właśnie szczególnie cenię sobie w poezji. Nie chciałbym, aby to zabrzało opacznie, ale mniejszy nacisk kładę na rozważania czysto intelektualne, a bardziej na to, co płynie z duszy i serca.

Muzyka jest zawarta w zapisanych przez Ciebie słowach, podobno tylko trzeba ją usłyszeć...

Wtedy, na początku, jeszcze tego nie wiedziałem. Pisanie było dla mnie czymś naturalnym. Pisząc, nie zdawałem sobie sprawy, że to w ogóle można zaśpiewać. Dopiero jeden z kompozytorów uzmysłowił mi, że wiersz zaśpiewany równie dobrze brzmi, a nawet mocniej trafia do słuchaczy niż słowo – li tylko – czytane. Ba! To mnie utwierdziło w przekonaniu, że moje wiersze mogą mieć dzięki temu szerszy odbiór. A jeśli jeszcze miało się trochę szczęścia, że śpiewały je Wolna Grupa Bukowina czy Stare Dobre Małżeństwo, to owe spectrum znacznie się powiększało. I efekt był naprawdę znakomity.

Kochasz góry. Bieszczadzkie anioły niczym anioły Chagalla w malarstwie patronują Twojemu pisaniu...

Góry są moim sztandarowym tematem i wciąż coś w nich odkrywam. Lubiłem chodzić po górach i całe dni być z nimi i wśród nich. Rozmawiałem wtedy z Naturą. Szczęście nie do opisania.

Byłeś dobrym piechurem?

Owszem. Z tym że nie preferowałem wysokich gór. Nie wspinałem się po skałach. Nagie szczyty mnie nie kusiły, a bardziej takie zalesione góry, połoniny, hale, łąki. Zielone, aż po horyzont, łagodne wzniesienia. Gdzie wzrok leci daleko, nie zatrzymuje się. Tam poezja spływa na mnie w dwójnasób: z góry (z wyżyn niebieskich) i z gór, z zielonych wyżyn, które mnie tak urzekają. Nie wyobrażam sobie życia bez gór...

Twoje przyjaźnie z Wojtkiem Bellonem i Krzysztofem Myszkowskim okazały się owocne twórczo...

Poza wszystkim zaowocowały wieloma płytami, koncertami, trasami. Nigdy bym nie przypuszczał, że dzięki temu odwiedzę parokrotnie Stany Zjednoczone i inne kraje. Nie mówiąc o tym, że „poetycko” zjechałem całą Polskę, czytając wiersze na koncertach. Nie wiedziałem, jak publiczność je przyjmie, ale słuchali wyśmienicie, co mnie radowało.

Miłość do przyrody, do krajobrazów, do ludzi, do życia w całej jego skomplikowanej pełni, są głównymi tematami Twoich wierszy.

To rodziło się samo, nigdy nie pisałem według jakiegoś założenia czy sztywnie narzucanych planów.

Wciąż byłem na etapie odkrywania drugiego człowieka, to od niego przejmowałem empatię, dobrą energię. Oni dawali mi swoje opowieści, a ja im to, co potrafiłem czynić najlepiej, czyli wiersze. W ten sposób rodził się wspaniały dialog, artystyczny, metaforyczny.

Smaki, kolory, zachwyty nad zmysłowością... Biesiadność... To też tematy Twoich wierszy czy także Twój sposób na życie?

Oczywiście. Jestem z krwi i kości. We mnie są dwa bieguny. Jak dwa skrzydła anioła. Jedno, takie zabawowe, skore do groteski, a drugie gdzieś unoszące się na fali odlotu, świata prawie nierealnego. Jak się bawię, to się bawię, gustuję w dobrych daniach, napitkach, a jednocześnie ujmuję to w wierszach, gdzie się to wszystko łączy w całość. Bo na tym polega życie i sztuka. Specyficzny i niepodważalny mariaż...

Patrzysz czasem w gwiazdy bez żalu, myśląc o utracie żony Marii? Nie masz pretensji do Losu?

Czasem mi ciężko i smutno. I nie umiem sobie radzić. W Krakowie gwiazd nie widuję. Więc te wzloty i tęsknoty to tylko w górach. Czasem gdzieś słowik w Muszynie... I sierpniowe spadające gwiazdy, dające pociechę i nadzieję.

Humor, sarkazm, ciepło, autoironia, tyle ich wciąż w Twoich wierszach. Skąd czerpiesz na to siły? Nie patrzysz w niebo przez cały czas...

Takie podejście do życia wyssałem z mlekiem matki. Ona miała też duże poczucie humoru. I swój świat poezji. Jest jakaś siła we mnie, której nie umiem nazwać, ale zawsze podnosiłem się szybko ze wszystkich upadków.

Co jeszcze dodaje Ci chęci do pisania? Prócz gór, o czym już wspominaliśmy.

Na pewno ciekawość drugiego człowieka. Rozmowy. Choć rzadziej sam mówię, raczej słucham. Ale też podróże, nawet spotkania towarzyskie, ogniska. Zauważyłem, że wyłapuję w ludziach rzeczy i zjawiska, których być może w nich nie ma albo oni nie wiedzą, że je posiadają. I pisząc o nich, niejako podnoszę je do rangi poezji...

Podobno Ziemianina powinno podawać się jak lekarstwo, na wszystkie zgagi nieznośnego bytu, zgadzasz się z tym?

O, ktoś to dobrze powiedział! (śmiech) Generalnie zgadzam się z tym stwierdzeniem, tylko trzeba mnie umiejętnie dawkować jak każde skuteczne lekarstwo... (śmiech)

Jak podsumowałbyś swoje życie i twórczość?

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, jak to ująć w jakąś klamrę. Może na to jeszcze za wcześnie? Wiem, że w sumie, żyłem i żyję, jak chciałem. Jak sobie założyłem i nadal to realizuję. Nawet w trudnych czasach byłem wewnętrznie wolny! Bo tylko wolność i miłość jest przepustką do Poezji...



Elżbieta Wojnarowska – z wykształcenia jest przyrodnikiem i... scenarzystką. Ale również pieśniarką i aktorką (m.in. należała do zespołu Teatru STU), autorką powieści, baśni dla dzieci, sztuk teatralnych i scenariuszy. W końcu – a może przede wszystkim – poetką.

Adam Ziemianin

Oniryk okrutnie zaczepny

Dziecko szło do mnie
Z badyłem konwalii
Cel był pokojowy
I wręcz naturalny

Więc konwalia wędła
Gdy dziecko mówiło
Bo takie są prawidła
Bez względu na miłość

Jesteś stary więc zrób mi
Miejsce na huśtawce
Przecież już gdzie indziej
Puszczasz swe latawce

I potrafisz z przekąsem
Huścić się na szubienicy
Możesz też przed odejściem
Ukryć się w garstce ciszy

Tak dziecko śpiewało
Ustami majowej konwalii
Jego huśtawka odchyłała się
Jak wahadło w stronę słońca

A na odpuszcie trąbki grały
I śmiechom nie było końca

Makotka z mostu

Chłopiec łódkę
Wystrugał z kory
Żagiel jej sprawił
Z pióra indyczego

Chłopiec jest jeszcze
Całkiem młody
A łódkę puszcza
Sam nie wie dlaczego

Może ze światem
Chce porozmawiać
Może chce się wyrwać
Z tego miasteczka

Na łódce z kory
Płynie serce chłopca
A on tu już chyba
Jedną nogą mieszka

Dziś na moście stoi
Jesienny mężczyzna
Nie ma łódki z kory
Ale są wspomnienia

Po latach tu wrócił
I patrzy przed siebie
Jak słońce na wodzie
W drobne się rozmienia

Sen o Sanie

Mówię – a San śpiewa
A w Sanie po kolana
Zanurzone drzewa
W skupieniu pochylone
W bieszczadzkiej koronie

Śpiewam – a San mówi
Jest na fali wznoszącej
Bo lubi też taki koncert
Wtedy jest po brzegi
W swoim żywiole

Piszę – a San czyta
Prosto z mostu
I co dziwne
Bez okularów
Choć ma już swoje lata

Bieszczadzkie pożegnanie

Przyszedł wrześnieowy wieczór
Na bieszczadzskich nogach
Boso między nami dreptał
Klucząc od słowa do słowa
O zachodzie oczy tve i ręce
Były jeszcze bardziej anielskie
I trwał ten jesienny spektakl
Niczym nasza święta rozmowa

Twoje włosy w szprychy
Kół Wielkiego Wozu
Wkręcały się siwiejąc
Jak nici babiego lata
Czas swoim sposobem
W warkocze je zaplatał
I stawały się napięte
Bo ktoś powiedział
Że już do Krakowa
Trzeba będzie wracać
I że nagle urwie się
Niczym lotna pajęczyna
Nasze bieszczadzkie szczęście

Rozmowa bez słowa

Z tobą choćby pomilczeć
Jakże jest ciekawie
Gdy siedzisz cała piękna
Przy swej małej kawie

I podnosisz filiżankę
Nie nazbyt wysoko
Jakbyś chciała sprawdzić
Czy jeszcze jest po co

Włosy twe kochane
Oczy twe kawowe
Jakże cię podziwiam
W tej cichej rozmowie

Maria przychodzi

Maria przychodzi tu czasem
Buty ma na płaskim obcasie
Jednak trochę zakłopotana
Bo powietrze dusi już z rana
I mocniej do nóg się łąsi

(Za ziemskie przebywanie
Słono płacisz w Krakowie
A wszystko przez to chyba
Że blisko jest Wieliczka
I stąd ta słona zaliczka)

Smog wścibski jak Lajkonik
W oktawie Bożego Ciała
Aż głowa od przybytku
Boli i z krakowska ociężała

A Maria przecież zostawiła
W Krakowie na pastwę losu
Dzieci – Halszkę i Kacpra
I ja coraz bardziej niemrawy
Jak dziurawiec wśród ostów

Ona wie że jestem bezradny
I taki bez niej nie do pary
Chociaż mocno się staram
By choć poezja – ulotna pani
Która jedynie mi została
Dobrze ze mną się miała

Kąt oschły

Już od początku
Świata wiadomo
Że kropka na i
Ważna bywa
Ale tylko wtedy
Gdy na swym
Miejscu tkwi

Adam Ziemianin – (ur. 12 maja 1948 w Muszynie), dziennikarz, poeta i autor tekstów. Ukończył Studium Nauczycielskie, studiował filologię polską na UJ, ale studiów nie ukończył. Był dziennikarzem pisma „Kolejarz”, następnie „Echa Krakowa”, „Gazety Krakowskiej”. Znany jest jako autor tekstów do piosenek śpiewanych przez m.in. „Stare Dobre Małżeństwo” i Krzysztofa Myszkowskiego, a także przez Elżbietę Adamiak, Jacka Wójcickiego, Wolną Grupę Bukowinę, Rafała Nosala. Jego poezję rozpropagowały przede

wszystkim liryczne utwory skomponowane i śpiewane przez Krzysztofa Myszkowskiego (Stare Dobre Małżeństwo).

Ma w dorobku blisko 30 zbiorów poezji, jego wiersze były tłumaczone m.in. na język angielski, niemiecki, rosyjski, włoski. W 2013 roku za wspomnieniową powieść *Z nogi na nogę* otrzymał nagrodę Krakowska Książka Miesiąca, a w 2017 roku za tom poezji *Zakamarki* został nominowany do Orfeusza – Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego.

Wybieram Kilara i Zanussiego

Tekst: Maria Malatyńska Zdjęcia: Jan Zych

Maj w filmowym Krakowie to zawsze i niezmiennie Festiwal Muzyki Filmowej. Jest ważny, wielki i międzynarodowy. I choć tradycję ma zaledwie dwunastoletnią, to sławę – istic niewymierną.

Wszystko pewnie dlatego, że program tej imprezy jest za każdym razem zaskakujący i wywołujący cały ciąg miłych wspomnień, dotyczących zarówno filmów „starych” i nowych, jak i kompozytorów, filmowo niezapomnianych. W tym roku też tak będzie. I to już za kilka dni, w dobrym, długo oczekiwanym tygodniu, między 14 a 21 maja. Cały program można sprawdzić w licznych informacjach miejskich i internetowych, ale zachwycić się przyjdzie wszystkim, od chóralnych kompozycji Ennio Morricone z *Misji* Rolanda Joffe przez fragmenty *V Symfonii* Gustawa Mahlera, pamiętne z filmu Luchina Viscontiego *Śmierć w Wenecji*, aż do filmów nowych, jak choćby do *Wielkiego piękna* Paola Sorrentino, przepysznego fresku z Rzymem w tle, z muzyką odważnie łączącą klasykę ze współczesnością, style romantyczne i barokowe. Wielka to zasługa wspaniałego kompozytora Lele Marchitello, który cały ten eklektyzm innych twórców muzycznych, obecnych w tym filmie, tak mistrzowsko połączył własnym pomostem nostalgii i spokoju.

*

Wszystko Państwo sprawdzą sami już na poszczególnych koncertach, ale ja wybieram z bogactwa tegorocznego programu dwójkę artystów: wielkiego, niezapomnianego Wojciecha Kilara, którego muzyka filmowa stanowi w tym roku najbogatszy obszar penetracji, zarówno jego twórczości dla polskich filmów, jak i wielkich filmów światowych. Na przykład niezwykłą muzykę Kilara do filmu *Dracula* Francisza Forda Coppoli usłyszymy w osobnym koncercie na żywo, pod takim właśnie tytułem: *Dracula Live in Concert*. Drugim artystą, którego wybieram, jest Krzysztof Zanussi. Jest on na tegorocznym festiwalu gościem specjalnym ze względu na jego rok jubileuszy życiowych i artystycznych. A jeszcze tak dobrze się złożyło, że poprzez jego filmy też przypominana jest muzyka Wojciecha Kilara, ponieważ bogata i nie do podrobienia filmowa twórczość Zanussiego jest pod względem muzycznym fenomenem jedynym w swoim rodzaju: otóż wszystkie pełnometrażowe fil-

my tego reżysera (z wyjątkiem ostatniego), a jest ich dotychczas dobrze ponad czterdzieści, są wzbogacone muzyką Wojciecha Kilara. Ostatnia jak dotąd produkcja reżysera, *Eter*, którego realizacja przypadła na czas po śmierci kompozytora, pozbawiona jest tej muzyki. Reżyser sam z niej zrezygnował. Może poczuł, że nie powinien tuż po śmierci kompozytora samodzielnie „grzebać” w jego dorobku, chociaż przecież robił to niejednemu raz? To nie pomyłka. Tak było. Skąd to się wzięło, zwierzył mi się reżyser kilka lat temu w wywiadzie. Mówił żartobliwie, że tak się Kilarowi narzucił i naprzykrzał, tak niemalże czynił go odpowiedzialnym za artystyczny poziom swoich dzieł, tak bardzo nie wyobrażał sobie realizowania czegokolwiek bez artystycznego wkładu tego kompozytora, tyle wygłaszał pochwał pod adresem dzieł Kilara, i to tych orkiestrowych, wielkich, że wreszcie ten machnął ręką i pozwolił reżyserowi wybrać ze swojej twórczości te fragmenty, które mu się nadadzą. Doprowadzało to zresztą do absurdalnych sytuacji, o których też mówił mi Zanussi, że na przykład dostał Kilar nagrodę na festiwalu za muzykę do filmu, której tu nie napisał, a którą właśnie Zanussi powyciągał sobie „z niego” sam. Chodziło o film *Życie jako śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową*. Kilar film odrzucił i nie chciał napisać do niego muzyki. Wtedy Zanussi wziął sobie do filmu fragmenty jego muzyki, którą kompozytor napisał do niemieckiego serialu *Król ostatnich dni*, bo według niego nie ta muzyka była „zbyt duża” i zbyt piękna dla tamtego serialu. I, o dziwo, proszę Państwa, Kilar tę jego samowolną reakcję w końcu zaakceptował. A potem nawet przyjął tę festiwalową nagrodę „za muzykę”. Jeszcze jedną niezwykłą anegdotę opowiadał mi Zanussi, która też związana była z ich osobliwą, artystyczną przyjaźnią. Mówił reżyser: „Powstało między nami coś, co nazywam z rozbawieniem unilateralną monogamią”, czyli „on mnie zdradza nieustannie, a ja jestem mu wierny jak stara, poczciwa żona. Bo ja nikogo, nigdy nie proszę o żadną muzykę, dla mnie byłoby to nawet nie

do wyobrażenia, aby w moich filmach pojawiła się muzyka inna niż Kilara. A Wojtek »szlaja się« to z Wajdą, to z Polańskim, to z Coppolą i z innymi (...). A ja za każdym razem »zawiszczę« i cierpię, że ta muzyka »nie dla mnie« jest jeszcze wspanialsza. Robię mu gwałtowne sceny zazdrości, za *Ziemię obiecaną* nawymyślałem mu przez telefon, za *Kronikę wypadków miłosnych* także, a on mi zawsze ze stoickim spokojem odpowiadał: zrób takie filmy, to ci napiszę taką muzykę”.

Taki był Kilar, który zresztą napisał mnóstwo oryginalnej muzyki dla Zanussiego, nie wszystko reżyser musiał wyciągać sobie sam. Ale taki jest Zanussi, że chętnie o swoich nietypowych kontaktach z Kilarom mówi. Może i dlatego, że prawdziwie zdystansowany jest do własnej twórczości, choć nikt by go o to nie podejrzewał, jak również o to, że jest tak pełen humoru. Ale może sobie na to pozwolić, bo jest i zawsze był świadomy artystycznej i intelektualnej rangi swoich filmów. A i dla widzów na całym świecie oryginalność jego twórczości jest bezdyskusyjna i zawsze wysoko ceniona.

*

Wojciech Kilar był wielkim kompozytorem. Cenił swoją twórczość, choć głównie koncertową: *Krzesanego*, *Orawę*, *Kościelec* i tyle

Muzyka filmowa Kilara stanowi w tym roku najbogatszy obszar penetracji. Drugim artystą, którego wybieram, jest Krzysztof Zanussi. Jest on na tegorocznym festiwalu gościem specjalnym ze względu na jego rok jubileuszy życiowych i artystycznych.

rozmaitych koncertów oraz mszy. Twórczość filmową traktował trochę „rzemieślniczo”, mówiąc, że to zawsze miła okazja do spotkań towarzyskich. Często nie rozumiał, dlaczego te jego filmowe „błahostki” są tak cenne i nagradzane, dlaczego jawią się nam i nie tylko nam, ale i „światu”, jako coraz większe, osobne wydarzenia muzyczne, fascynujące, z polonezem z *Pana Tadeusza*, z walcem



Wojciech Kilar



Krzysztof Zanussi

z *Trędowatej*, z walcem z *Nocy i dni*, z tangiem z *Zazdrości i medycyny*, z muzyką do *Salta* Konwickiego, z muzyką do *Pianisty* Polańskiego, z genialnym podkładem muzycznym do wszystkich śląskich filmów Kutza – na czele. Ale i z tyloma cudownymi i niezapomnianymi pięknosciami muzycznymi do wielu, wielu filmów, także realizowanych w innych kinematografiach i dla obcych autorów.

Krzysztof Zanussi zawsze o tym wiedział. Studia filozoficzne dały mu podstawę do stworzenia filmów refleksyjnych, intelektualnych, jakich nikt przed nim ani po nim nie potrafił realizować. Studia z dziedziny fizyki dały zaś jego filozoficznemu kinu konkret. Studia reżyserskie pozwoliły ukształtować znakomite warsztaty i siłę przekonywania. Jest twórcą dynamicznym, pełnym pomysłów, realizującym swoje filmy na całym świecie. Jesteśmy świadomi jego odrębności twórczej. Obecny w polskim kinie od przeszło pół wieku, autor ponad 60 filmów, licząc z krótszymi, telewizyjnymi – a nigdy, przed laty był twórcą także całkowicie nowej formy filmowej. To on zapoczątkował średniometrażowe fabuły telewizyjne, małe opowieści o ludziach postawionych przed koniecznością moralnego wyboru. Na wiele lat przed *Dekalogiem* Kieślowskiego prawdziwie zrewolucjonizowały

Studia filozoficzne Zanussiego dały mu podstawę do stworzenia filmów refleksyjnych, intelektualnych, jakich nikt przed nim ani po nim nie potrafił realizować.

polską kinematografię: *Śmierć prowincjała*, *Twarzą w twarz*, *Zaliczenie*, *Góry o zmierzchu*, aż do genialnego *Za ścianą*. Były nowatorskie także pod względem aktorstwa.

Krzysztof Zanussi ma teraz znakomity rok! W marcu otrzymał najwyższą polską nagrodę filmową, czyli Orły za całokształt twórczości. W czerwcu skończy 80 lat i jest tak pełen energii, że na pewno jeszcze nas zaskoczy! Dobrze, że ten filmowy maj należy właśnie do niego! Wszystkiego, co najlepsze, życzymy i dziękujemy za już!



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

HABA PERCUSSION GROUP

Natalia ŚLUSARCZYK – dyrygent

Ryszard HABA – marimba, perkusja, kier. art.

Paweł WAJRAK – skrzypce

Mariusz PĘDZIAŁEK – obój

Michał BIAŁKO – organy

Adam WYGODA – marimba



26.05.2019
 niedziela, godz. 18.00

W programie:
**XENAKIS, MIKI, KOPPEL
 SKOCZYLAS, HARRISON**

SALA KONCERTOWA FILHARMONII

NADZWYCZAJNY KONCERT KAMERALNY

Bomsori **KIM** skrzypce

Rafał **BLECHACZ**
 fortepian

w programie:

Wolfgang Amadeus MOZART – Sonata F-dur KV 376

Gabriel FAURÉ – Sonata A-dur op. 13 nr 1

Claud DEBUSSY – Sonata g-moll

Karol SZYMANOWSKI – Sonata d-moll op. 9

29.05.2019
 środa, godz. 19.30

SALA KONCERTOWA FILHARMONII



fol. Harald Hoffman @ Deutsche Grammophon

W roli wydawcy

Tekst: Jan Pieszczachowicz

Studia ukończyłem raczej chlubnie. W moim indeksie stwierdzającym uzyskane magisterium widnieją podpisy profesorów Marii Dłuskiej, Henryka Markiewicza i Kazimierza Wyki.

Pod taką solidną opieką nabyłem wszechstronną wiedzę polonistyczną. Wśród asystentów nie było miejsca, więc prof. Markiewicz wyjednał mi pracę korektora w Wydawnictwie Literackim, wcale niełatwą, ale dającą bardzo pożyteczne doświadczenie. Dyrektorem WL był Aleksander Słapa, doświadczony wydawca, który zaczynał chyba jeszcze przed I wojną światową. Wobec mnie miał postawę ojcowską, pouczał mnie między innymi w sprawach obyczajowych. Jemu też zawdzięczam umiejętność adiustacji – przygotowania tekstu do druku. Pewnego razu otrzymałem do korekty katalog wydawnictw bodaj na 10-lecie WL. Szybko się zorientowałem, że jest to niedoróbka i poszedłem do Słapy. Wpadł we wściekłość i kazał mi rzecz opracować na nowo.

Wśród ówczesnych pracowników WL zapamiętałem redaktora Jana Gintela, zwanego Majorem, bo przed wojną jako ułan dorobił się tego stopnia. Był nietuzinkowym historykiem amatorem, wydał obszerną antologię tekstów staropolskich. Rubaszny i jowialny, często nucił swoje „zurawiejki” radośnie sprośne. Pojawił się w nich między innymi Drohobycz jako symbol życia – co tu dużo gadać – rozpustnego. Nie wiem, jakie doświadczenia go do tego nakłoniły, czy może sam to wymyślił.

Nieoczekiwany powrót do WL nastąpił, kiedy zbiegiem okoliczności zostałem prezesem krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, drugiego jeśli idzie o wielkość w Polsce. W początkach mojej przynależności do ZLP zdradziłem pewne predyspozycje organizacyjne. Oddział był zaniedbany, prezes Stefan Otwinowski chory i zmęczony, buntowali się literaccy poddani. Zostałem wiceprezesem, by za niego pracować, z czym godziłem się *pro publico bono*. Los przyniósł smutną niespodziankę. W czasie kolejnego pobytu w Warszawie mieszkałem w pokoju gościnnym Zarządu Głównego ZLP wraz z J.J. Szczepańskim. Rano przyszła gospodyni i powiedziała, że zmarł nagle w Krakowie prezes Otwinowski w trakcie zebrania człon-

ków Oddziału. Wróciłem natychmiast do Krakowa. Trumna została wystawiona w ratuszu, zmarłego pisarza pochowano w alei zasłużonych na cmentarzu Rakowickim.

Zaczęły się debaty, kto Otwinowskiego zastąpi. Właśnie wtedy naraziłem się partii za redagowanie pisma „Student” i wyleciałem z funkcji naczelnego, co zostało wśród grupy opozycyjnie nastawionych literatów odebrane pozytywnie, jako przesłanka zaufania. Trzeba było wybrać nowego prezesa. Proponowałem J.J. Szczepańskiego, ale on wolał pisać, przyłączył się za to do grupy tych pisarzy, którzy stawali na mnie, bo jako wiceprezes starałem się pracować, jak umiałem najlepiej. Ale mój dorobek literacki był skromny, a wiek jak na taką funkcję niewielki, uważałem więc taki awans za przesadzony. Trudno było jednak odmówić Szymborskiej, Szczepańskiemu i Kornelowi Filipowiczowi, który wziął sprawę w swoje ręce i poprowadził zebranie wyborcze stanowczo. Najpierw mnie zareklamował, a prestiż miał wielki. Zaproponował wbrew zwyczajowi głosowanie jawne, w którym otrzymałem prawie 100 procent głosów – bez jednego: Włodzimierza Maciąga. Moje zdziwienie było bezgraniczne, bo coś podobnego jeszcze się nie zdarzyło moim poprzednikom na prezesowskim krześle, nawet Kazimierzowi Czachowskiemu i Kazimierzowi Wyce.

To sensacyjne wydarzenie pachniało skandalem, bo tak zwane czynniki po wyrzuceniu mnie z funkcji redaktora naczelnego „Studenta” skierowały mnie do pracy w redakcji warszawskiej „Kultury”. Prezes krakowskiego Oddziału ZLP dojeżdżający do pracy w Warszawie? Gorączkowo szukano wyjścia. Znalazł je Andrzej Kurz, dyrektor Wydawnictwa Literackiego, oferując mi funkcję zastępcy redaktora naczelnego znaczącej w skali kraju oficyny. Połączenie tej funkcji z obowiązkami prezesa nie było łatwe, zważywszy, że niektórzy literaci uznali, iż prezesura obliuguje mnie do wydawania ich książek. Czasami występowałem jako rozjemca między wydawnictwem i autorem, co sprawiało trudności, bo musiałem godzić obowiązki

krytyka, członka kierownictwa firmy i działacza związkowego. Sytuację łagodził fakt, że za prezesowanie nie dostawałem grosza.

Redaktorem naczelnym była Kasia Krzemuska, krótkotrwała żona Tadeusza Nowaka, kompetentna i pracowita szefowa działu literatury współczesnej. Dyrektor Kurz oddał mi pod opiekę rozbudowany dział przekładów i niewielką redakcję sztuki. Szefową przekładów była Maria Kaniowa, miłośniczka literatury iberyjskiej oraz iberoamerykańskiej, której zawdzięczała powstanie i rozwój seria przekładowa ciesząca się wielkim powodzeniem, jedyna tego typu w świecie, osiągając wymiar stu kilkudziesięciu pozycji i budząc podziw wybitnych pisarzy hiszpańskich i południowoamerykańskich, którzy zawadzali o Kraków. Połknąłem tego bakcyła i pomagałem Kaniowej, która wakacje spędzała, podróżując w poszukiwaniu autorów i książek, oddana swojej misji.

Dla mnie była to przygoda, bo poznałem niemało pisarzy światowej sławy, niekiedy w sposób zaskakujący.

*

Pewnego razu zostałem przez ZSP wydelegowany jako kierownik grupy teatralnej udającej się na festiwal teatrów iberoamerykańskich w stolicy Wenezueli Caracas. Był to znakomity studencki zespół baletowy Akademii Ruchu z Warszawy. Podróż zapowiadała się egzotycznie i tak też się odbyło. Leciliśmy przez Nowy Jork, gdzie spędziliśmy na lotnisku około doby w związku z obowiązującymi wówczas przepisami amerykańskimi, traktującymi nas, osoby z komunistycznego kraju, jako podejrzane, którym nie wolno lotniska opuścić. Tranzyt nad Karaibami zapamiętałem jako drogę przez mękę, bo samolotem rzucano, ile wlezie.

Lotnisko w Caracas jest na styku morza i łądu. Kiedy znaleźliśmy się w stolicy, powitała nas minister kultury Wenezueli. Miałem ze sobą najnowszy produkt serii iberoamerykańskiej – przekład prozy Miguela de Otero Silvy, wybitnego pisarza iberoamerykańskiego, i poprosiłem panią minister o pośrednictwo w doręczeniu, co okazało się nader łatwe: pani Otero Silva była małżonką pisarza. Wkrótce przyjechał rolls-royce z umundurowanym szoferem i zawiózł mnie do posiadłości na obrzeżach Caracas. Niczego tam nie brakowało, nawet sadzawki z pluskającymi się aligatorami. Okazało się, że pisarz jest milionerem, właścicielem między innymi dziennika „El Pais” i udziałowcem pól naftowych w Maracaibo.

Akademia Ruchu odniosła sukces, trzeba było zbierać się do powrotu, ale okazało się, że to nie takie proste. W Warszawie załatwiono przesiadkę w Nowym Jorku niedokładnie, trzeba tam było czekać, a my nie mieliśmy prawa pobytu na ziemi amerykańskiej. Minister Otero Silva załatwiła nam nocleg w jakimś wykańczanym budynku rządowym.

Ta wspaniała kobieta skontaktowała mnie z amerykańską panią konsul, sympatyczną i pełną humoru. Powiedziała parę mało dyplomatycznych słów pod adresem antykomunistycznej obsesji. Doprawdy, przystojne chłopaki z Akademii Ruchu nie wyglądały na czerwonych zbirów. Stało na tym, że złożymy wniosek o wizę pobytową w USA. Trzeba było wypełnić stosowne papiery, konsularny fotograf zrobił nam barwne zdjęcia i wszystko razem powędrowało do Waszyngtonu. Wreszcie po niespełna miesięcznym pobycie w Caracas ruszyliśmy do Nowego Jorku, gdzie spędziliśmy kilka dni pod życzliwą opieką polskiego konsula generalnego. Caracas wspominałem jako miasto zamożne, spo-

Kornel Filipowicz wziął sprawę w swoje ręce i poprowadził zebranie wyborcze stanowczo. Najpierw mnie zareklamował, a prestiż miał wielki. Zaproponował wbrew zwyczajowi głosowanie jawne, w którym otrzymałem prawie 100 procent głosów – bez jednego.

kojne, gościnne. Dziś z przerażeniem czytam o poważnym kryzysie, zamieszkach i fatalnym zaopatrzeniu w Wenezueli.

A po powrocie do Krakowa czekała mnie wizyta Macieja Słomczyńskiego, znanego jako Joe Alexa, autora popularnych kryminałów. Postanowił on przetłumaczyć całego Szekspira i konsekwentnie to realizował w WL. Lubiłem Maćka, choć nie był łatwy w kontaktach i zdaje się uważał, że jest jedynym Polakiem znającym dobrze angielski, choć krytycy zarzucali mu nadmierną dowolność w przekładach. Moim obowiązkiem było każdy przekład poddać fachowej weryfikacji filologa anglisty, co kosztowało niemało. Słomczyński tego nie uznawał i nadmieniał o koszu, gdzie zamierzał umieścić liczący kilkadziesiąt pozycji filologiczną weryfikację, do której jako tłumacz miał obowiązek się ustosunkować. Uznałem, że przesadził i zapytałem, czy – ponieważ przepisy wyraźnie tego wymagają – gotów byłby za ekspertyzę sam zapłacić. Oczywiście nie był gotów, wziął opracowanie, ale do uwag się nie ustosunkował.

Taki to był hardy Maciej.



Jan Pieszczachowicz – ur. 1940 w Koprzywnicy koło Sandomierza, krytyk literacki i publicysta, pracował w Wydawnictwie Literackim, współtworzył Teatr 38, zakładał pismo „Student” i miesięcznik „Pismo”, był w redakcji miesięcznika „Literatura” i tygodnika „Przekrój”, twórca miesięcznika „Kraków” i dziś jego redaktor-senior. Pasjonat twórczości Poświatowskiej, Stachury i Vincenza.



Rys. Andrzej Zaręba

Zapraszam na Kazimierz

Tekst: Mieczysław Czuma

Rafael Scharf, zmarły przed kilkoma laty w Londynie pisarz i publicysta izraelski („dla Żydów jestem Anglikiem, dla Polaków Żydem, a dla Anglików Polakiem”), jest autorem słynnego już powiedzenia, które zrobiło zasłużoną karierę i to daleko poza naszymi granicami: „Kraków to jedyne miejsce na świecie, gdzie ulica Bożego Ciała krzyżuje się z ulicą Rabina Meiselsa”. Czy można lepiej zdefiniować wielowiekowe tutejsze sąsiedztwo młodszych i starszych braci w wierze?

Rabin Meisels wywodził się ze znakomitego rodu, był potomkiem samego Mojżesza Isserlesa. Finansował i organizował dostawę broni oraz amunicji dla uczestników powstania listopadowego. Zasiadał w radzie miasta, posłował do parlamentu austriackiego. Po dwudziestu czterech rabinackich latach spędzonych w Krakowie obejmie (1856 r.) stanowisko naczelnego rabina Warszawy. Wspomaga powstańców styczniowych. W proteście przeciwko zbezczeszczeniu kościołów katolickich przez sotnie kozackie wydaje nakaz zamknięcia synagog i domów modlitwy. Nie spełnia żądania władz zaborczych i nie rzuca klątwy na żydowskich powstańców. Mimo że Warszawa była wtedy największym skupiskiem Żydów w Europie, dla zachowania własnego prestiżu konsekwentnie używa tytułu „rabin krakowski zamieszkały w Warszawie”.

Rafael Scharf chodził do Gimnazjum Hebrajskiego przy Brzozowej, ukończył prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1938 roku wyemigrował do Anglii, tam założył rodzinę, służył w armii brytyjskiej. Po wojnie często odwiedzał Kraków, zawsze obowiązkowo meldował się na Kazimierzu. („Labirynt uliczek: Estery, Jakuba, Izaaka, Józefa – w jakim innym mieście ulice noszą imiona postaci ze Starego Testamentu”).

Ulica Bożego Ciała przecina się także z ulicą Józefa. Ale nie upamiętnia żadnej z biblijnych postaci. W jednej z tutejszych kamienic (Wojewozińskiej, ul. Krakowska 20, róg Józefa) rozgościł się (we wrześniu 1772) cesarz Józef II, syn cesarzowej Marii Teresy, współregent. A rozgościł się, aby podczas objazdu ziem wydartych Polsce przy pierwszym rozbiore spoglądać z tych okien przez Wisłę na Wawel. Stare, niewielkie koryto rzeki zaraz za zamkiem odbijało w lewo, podążało dzisiaj ulicą Dietla i łączyło się z głównym nurtem (z tzw. Zakazimierką) w rejonie Grzegórzek. Kazimierz był wtedy otoczony przez ramiona rzeki wyspą. Według ustaleń zaborców Austria miała zająć tereny na prawym brzegu Wisły, po ujście Sanu. Tu, u nas, przekroczyła jednak główne koryto, połączyła

Według ustaleń zaborców Austria w pierwszym rozbiore miała zająć tereny na prawym brzegu Wisły, po ujście Sanu. Ale tu, u nas, przekroczyła główne koryto, połączyła Kazimierz i zatrzymała się na oddzielającej Kraków od Kazimierza bocznej odnodze. Opierając się na wcześniejszej konwencji granicznej, musiała w 1776 roku zwrócić miasto Rzeczypospolitej.

ła Kazimierz i zatrzymała się na oddzielającej Kraków od Kazimierza bocznej odnodze. Opierając się na wcześniejszej konwencji granicznej musiała w 1776 roku zwrócić miasto Rzeczypospolitej. Nie na długo, Habsburgowie zawłaszczyli je ponownie po trzecim rozbiore.

Swoje uprzywilejowane miejsce w całym judaistycznym świecie Kazimierz zawdzięcza Mojżeszowi Isserlesowi. W opinii społeczności żydowskiej to sam prorok Mojżesz, który wyprowadził lud swój z niewoli egipskiej, powierzył całe swoje biblijne dzieło temu właśnie krakowskiemu uczonemu.

Przez długie stulecia Kazimierz był wspólnym domem dla młodszych i starszych braci w wierze. Jagiellońska Rzeczpospolita była państwem tolerancyjnym. Zygmunt August mawiał: „Nie jestem królem waszych sumień”. Dopiero długo, długo później miały nastąpić i takie czasy, o których Rafael Scharf wyraził się z goryczą: „Antysemityzm jest chorobą Polaków, na którą umierają Żydzi”.



Mieczysław Czuma – profesor kraukauerologii, redaktor niehabilitowany.

Do wdrożenia od zaraz

Tekst: Magdalena Miśka-Jackowska

W naszych luksusowych czasach podróż z Warszawy do Krakowa lub odwrotnie zajmuje pociągiem nieco ponad dwie godziny. A mówią, że będzie jeszcze krócej. Czy to wystarczy, aby wreszcie powiedzieć, że te miasta są niedaleko siebie? Przecież to jeden z najwspanialszych duetów miejskich w historii!

Ityle o historii. Nie będę dotykać spraw trudnych, zawikłanych życiorysów, sporów i uprzedzeń na linii krakowsko-warszawskiej, która nie przestaje być linią rozgraną do czerwoności. Pozostańmy wyłącznie przy dobrym znaczeniu tych słów. Bo jest coś dobrego do zrobienia.

Zaczął mnie kochany redaktor Bereś, czy nie mogłabym poruszyć tematu, który dopiero pączkuje, ale jest w znacznie wcześniejszej fazie niż kwiaty o tej porze roku. Warto go pielęgnować, bo może z niego wyrosnąć coś naprawdę pięknego. Temat ma swoje hasło przewodnie, proste i miłe dla ucha – „Kraków-Warszawa: wspólna sprawa”. A skoro wspólna, to wszyscy mamy tu coś do powiedzenia – o co zresztą chodzi. Ludzie potrafią wspinać się łączyć siły, jeśli poczują się zmotywowani i zainspirowani jakimś pomysłem.

Tym, co łączy oba miasta od zawsze, jest sztuka. Nie tylko fakt, że oba posiadają bezcenne dla polskiej kultury zbiory. Nieocenione jest również to, jak bogata, dynamicznie się rozwijająca i nowoczesna jest ich oferta kulturalna. I że właściwie trafia ona do wspólnego odbiorcy.

Nie muszą jednak ze sobą konkurować, bo są miastami kompletnie odmiennymi i odmiennym rytmem biją nam w nich serca. W obu również wciąż nieszczerłone jest dla serca powietrze... Czy Warszawa i Kraków mogą mieć wspólną strategię promocji kultury?

Samo życie nam to podpowiada. Dziesiątki artystów różnych dziedzin regularnie dzielą swoje życie zawodowe między oba miasta. Migrują do teatrów, na plany zdjęciowe, estrady, sale koncertowe i do – najczęściej – dwóch domów. Nie widziałam dotąd, aby ta ich wyjątkowa cecha była jakoś szczególnie wykorzystywana. Oczywiście jest to smaczny kąsek w wywiadach, wielu z nich samodzielnie zbudowało wokół tych podróży jakiś fajny kontekst. Ale wiele jeszcze można wymyślić. Cała Warszawa wie, że Grzegorz Turnau jest z Krakowa. Ale czy Kraków wie, że artysta ten pełni funkcję dyrektora muzycznego warszawskiego Teatru Lalka?

Od lat marzy mi się, aby wspaniałe krakowskie festiwale miały gościnne odsłony w Warszawie. Nie ma lepszej promocji i skuteczniejszego sposobu, aby ściągnąć publiczność, a przecież ustaliliśmy już, że te dwie go-

dziny z hakiem pociągiem to żaden dystans. Pociąg do sztuki też mi się marzy, choć wiem, że pewnie to marzenie ściętej głowy i nie tak się myśli w marketingu linii kolejowych. Ale gdyby tak bilet był z rabatem, gdy się ma dru-

Kraków i Warszawa – ta miejska para naprawdę może świetnie zatańczyć, choć w przeszłości deptała sobie po palcach.

gi na jakies wydarzenie kulturalne w drugim mieście?

Skusiłabym się również na jakies mistrzowskie oprowadzanie. Są mistrzowie w Warszawie, są w Krakowie. Można by ich zaprosić do wspólnego przedsięwzięcia kulturalnego. Na przykład biorąc mistrza z Krakowa, aby pokazać mu Warszawę, lub w drugą stronę, i otworzyć taki spacer dla publiczności. Ale wymyślić to można na wiele innych sposobów. Siła inicjatywy w ogóle może polegać na kilku zgrabnych pomysłach. Ani wielkich pieniędzy tu nie trzeba, ani czasu. Taka rzecz do wdrożenia od zaraz.

Fascynujące by było, gdyby Kraków i Warszawa połączyły siły, aby skomplementować siebie nawzajem pod kątem sztuki. Bez żadnych fochów.

Porozmawiamy o tym?



Magdalena Miśka-Jackowska – kierowca z programem artystycznym. Od 2005 roku w zespole radia RMF Classic, autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej. Jako konferansjer związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju. Fanka muzyki filmowej i Krakowa, od pół roku w Warszawie.

Jeśli morderca z klasą, to tylko w Krakowie

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Podobno najmniejszym narzędziem zbrodni, o którym wiadomo historykom, jest zatruta wykałaczką.

Norman Davies pisał o niej w *Europie* „samozwańczy król Sycylii”. Agatoles wziął ją do ust po wieczerzy i doznał paraliżu całego ciała, a mordercy położyli go na stosie unieruchomionego, ale jeszcze żywego, i podpalił. Była to kara za okrucieństwo wobec poddanych.

Mordercy Agatolesa wykazali się finezją niczym zabójca z filmu *Seven* – tymczasem w magazynie „Detektyw” czytam, że od wieków najpopularniejszym narzędziem zbrodni jest zestaw przedmiotów, które zazwyczaj każdy ma pod ręką – kuchenny nóż, poduszka, siekiera i młotek. Człowiek pozostał jednak wierny prostym, sprawdzonym metodom. Najślawniejszy seryjni zabójcy również nie tracił czasu na wymyślanie jakichś skomplikowanych sposobów pozbawiania życia – większość patroszyła nożem, dusiła albo tłukła młotkiem. Nożem zabijał najmłodszy znany światowej kryminalistyce seryjni morderca z Krakowa Karol Kot. I choć krakowscy seryjni mordercy w wyborze narzędzia zbrodni nie są oryginalni, to różnią się od wszystkich znanych na świecie zabójców tym, że charakteryzuje ich szczególny, krakowski rodzaj galanterii, taktu i ogłady.

Pod koniec lat 60. ubiegłego wieku miasto ogarnęła prawdziwa psychoza strachu – kobiety chodziły z przymocowanymi do pleców pokrywkami od garnków w obawie przed atakiem nożownika. Mordercą okazał się grzeszny i uczynny maturzysta z inteligentnej rodziny Karol Kot. Niewinnie wyglądający młodzieniec usiłował zamordować jeszcze dziesięć innych osób, w tym dzieci, ale cudem udało im się ująć z życiem. O Kocie pisał wiersze Marcin Świetlicki, a Marcin Koszałka nawiązał do jego historii w filmie *Czerwony pająk*. Kulturalny nastolatek z dobrej rodziny został skazany na śmierć przez powieszenie.

Powojenny Kraków żył też sprawą Władysława Mazurkiewicza, nazywanego „Pięknym Władziem”, ulubieńca artystów i oficjeli – ten niezwykle taktowny, dobroduszny, obdarzony hollywoodzką urodą i poczuciem humoru seryjni morderca zabijał dla pieniędzy (krakowscy centusie niech nie udają zdziwienia). „Elegancki morderca”, bo tak okrzyknęła Mazurkiewicza prasa, częstował ofiary daniami z cyjankiem potasu, potem jednak uznał, że bardziej wykwintnym i szybszym sposobem zabijania będzie użycie broni. Strzelał

Kraków to miasto dumne, kołtuńskie i słynące z rodzaju staromodnej elegancji. Morderca z Krakowa to zaś nie byle kto – jest on do szpiku kości na wskroś wprost krakowski – dystyngowany, dobrze wykształcony i dobrze ubrany, z czarującym uśmiechem.

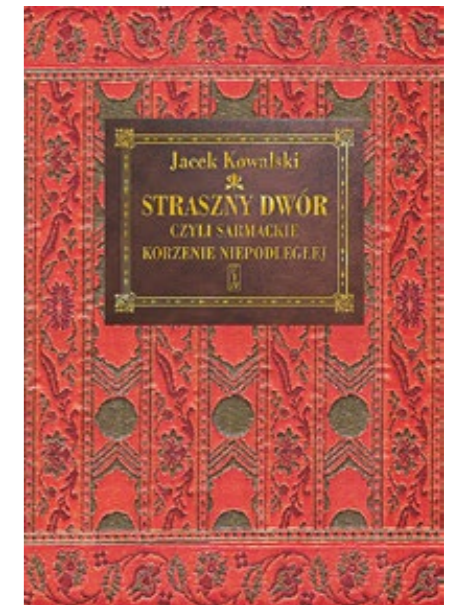
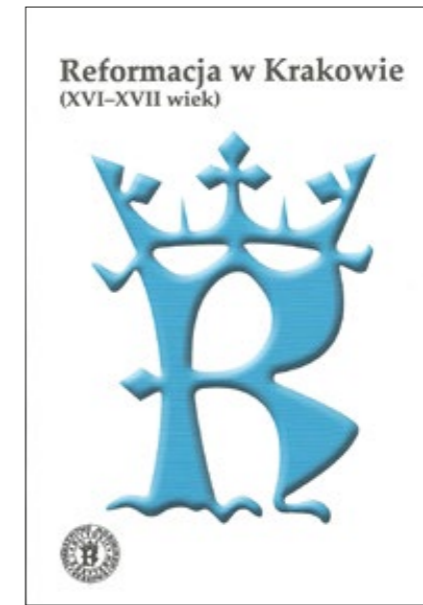
więc do bogaczy z pistoletu Walther, a potem zwłoki zalewał betonem. Wpadł, bo w czasie niedoszłej ofiary utknęła kula – sam poszkodowany był tak oczarowany charyzmą Mazurkiewicza, że próbował przekonać śledczych, iż tkwiący w głowie pocisk to wynik nieszczęśliwego wypadku. Jednak mimo wstawiennictwa wysoko postawionych znajomych „Pięknego Władzia” skazano w 1957 roku na śmierć.

Kraków to miasto dumne, kołtuńskie i słynące z rodzaju staromodnej elegancji, którą słychać w każdej rozmowie, nawet podczas kupowania obwarzanka. Myli się ten, kto myśli, że w Krakowie miałyby grasować jakiś zwykły zwyrodnialec czy pospolity frustrat. Tacy seryjni zabójcy są gdzie indziej – psychopaci wychowani w domu samotnej matki, jak Ted Bundy, czy szaleńcy na haju, jak Charles Manson to – nie bójmy się tego powiedzieć – po prostu plebejscy straceńcy. Morderca z Krakowa to zaś nie byle kto – jest on do szpiku kości na wskroś wprost krakowski – dystyngowany, dobrze wykształcony i dobrze ubrany, z czarującym uśmiechem i nie-nagannymi manierami, przyjaciel elit albo miły w obyciu i bystry maturzysta.

Jeśli Kraków ma zasłynąć z powodu seryjnych morderców, to nie będzie to jakiś wariat bez klasy. I to jest pewne jak śmierć.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Współpracowała z „Didaskaliami”, „Notatnikiem Teatralnym”, „Gazetą Wyborczą” i portalem publicystyczno-społecznym Polska Ma Sens. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*. Na co dzień marketingowiec i dziennikarka „Codziennika Feministycznego”.



Krakowska książka miesiąca

Prof. Krzysztof A. Zajas, autor poczytnych powieści kryminalnych (*Ludzie w nienawiści* (2014), *Mroczny krąg* (2015) oraz *Z otchłani* (2016), a także doskonale przyjętej powieści *Oszpicyn* (2017), nie dają czytelnikom chwili wytchnienia. Kilka miesięcy temu ukazał się pierwszy tom *Trylogii Pomorskiej* zatytułowany *Wiatraki*. Krakowscy policjanci – Lucek Bałyś i Andrzej Krzycki – trafiają w okolice Słupska, gdzie wpłatają się w ponurą historię porachunków gangsterskich, na czele jednej z nich stoi policjant, którego „łączy” stare porachunki z inspektorem Krzyckim. Drastyczne i ponure morderstwa dokonane w potężnym wiatraku, z jakimi zetknemy się na stronach książki Zajasa, wywołują dreszcz grozy. Jest to książka dla ludzi o mocnych nerwach. Oczywiście opowieść ma także podłoże damsko-męskich emocji związanych z podejrzliwością o małżeńską zdradę, a na dodatek pojawia się wątek historycznych zaszłości wojennych i powojennych na tle stosunków polsko-niemieckich na Pomorzu. I ani słowa więcej, bo mógłbym zepsuć przyjemność lektury! Książka Krzysztofa A. Zajasa uhonorowana została nagrodą Krakowska Książka Miesiąca Maja.

Janusz M. Paluch

Pozornie to książka o oddechu, o tym, że wraz z każdym z tych banalnych, niedocenianych odruchów dostajemy życie, ale i życie tracimy. W to, że liczba naszych oddechów jest policzalna i wyczerpywalna, nikt chyba nie wątpi?

Więc jeszcze jedna książka o umiarności? O doświadczeniu dźwięku ostatniego tchnienia wydobywającego się z wnętrza kochanej przez nas osoby?

Kontener czyta się – jak to Bieńczyk – lekko. I zawsze podróżuje się, przynajmniej ja mam to wrażenie, w głąb swego życia. Ale to chyba nie jest wyjątkowe uczucie odbiorcy.

„Spośród poetów o oddychaniu wiedział też dużo Stanisław Barańczak. W poezji polskiej Nowej Fali o oddechu mówi się zresztą często, spłacany jest Celanowi dług, u Barańczaka jednak wyjątkowo szczerze. (...)

Matka nie żyła już od sześciu miesięcy, kiedy przyleciały efemerydy. Gwałtownymi falami, z wysoka, tak jakby niebo odwróciło się do góry nogami i zaczęło strząsać z siebie skrywany dotąd pył, tysiące zbędnych paprochów”.

Bieńczyk przeplata krytykę z osobistymi doznaniem. Ale może wszystko powinno być osobistym doznaniem?

Matka umiera. Różewicz pisze. Wicha pisze. Bieńczyk pisze. A ja o tym czytam. I przeżywam.

Recenzenci piszą, że to być może najlepsza książka Marka.

Ja tej wątpliwości nie mam. (wb)

Hermenegilda, Kobieta pracująca, „Nogi, nogi roztańczone...” i dziesiątki hitów z repertuaru Ireny Kwiatkowskiej czynią z niej artystkę niezapomnianą i często wywołują uśmiech, radość. Zanim jednak artystyczne sukcesy stały się dla niej chlebem powszednim, były dni chmurne, pełne wątpliwości i niepewności. Niekłamany dowodem i niemy świadkiem tych czasów jest pamiętnik, w którym od wczesnych lat zapisywała swe przemyślenia, porażki, sukcesy, wrażenia. Ta nieznaną twórczość pani Ireny po raz pierwszy ujrziała światło dzienne dzięki Marcinowi Wilkowi. Nie tylko dotarł do tego bezcennego źródła, ale znakomicie go wykorzystał, inkrustując nim opowieść o Irenie Kwiatkowskiej. Dzięki temu czytamy tę historię w dwu aspektach: biografii i autobiografii. Autentyczności relacji nadają też zdjęcia z rodzinnych zbiorów, na których: Irenka, Irena, rodzice i rodzeństwo, i siostrzenice, i siostrzeńcy. Są także fotosy z wycieczek zagranicznych, które aktorka bardzo lubiła! Obok, naturalnie, kadry z filmów, z ról teatralnych, z występów kabaretowych. A wszystko razem skomponowane w bardzo wciągającą opowieść, która jest czymś więcej niż tylko biografacją artystki (as)

Marcin Wilk, *Kwiatkowska. Żarty się skończyły*, Znak, Kraków 2019.

Tak głosi narracja jedynie dozwolona: Polacy byli i są wspaniali, a w czasie wojny liczne rodziny, poświęcając swe życie, ratowały Żydów.

Są jednak autorzy, nie wiedzieć czemu znajdujący dowody na to, że wielu rodaków było łajdakami, którzy współmordowali Żydów. *Casus* Jana Tomasa Grossa, Barbary Engelking czy Jana Grabowskiego jest znany.

A teraz kolejny autor poszedł jeszcze dalej. Żukowski wykazuje, na podstawie najnowszych filmów i książek ostatnich 70 lat, jak powstają, pracują i przekształcają się mity służące retuszowaniu wizerunku Polaków. Sprawdza, jak i które do kanonu pamięci wlewają się stereotypy i jak dokonujemy samowybielania. Autor tłumaczy: „Niemał każdy musiał się zetknąć – choćby w szkole – z *Medalionami* Zofii Nałkowskiej, a w nich z opowiadaniem, które ukazują polską przemoc wobec Żydów. (...) Wszystko lub niemal wszystko zostało już powiedziane, a jednocześnie kultura i my, jej uczestnicy, konsekwentnie ignorujemy najważniejszą, zdawałoby się, informację zawartą w dobrze znanych tekstach, filmach czy innego rodzaju przekazach”.

Na szczęście – powoli, bo powoli – rozpada się obraz tego, kim my, Polacy, jesteśmy jako grupa, znika zakorzenione w micie poczucie wyższości nad innymi. (wb)

Tomasz Żukowski, *Wielki retusz. Jak zapomnieliśmy, że Polacy zabijali Żydów*, Wielka Literatura, Warszawa 2018.

Wydawałoby się – jeszcze jedno spotkanie uczonych zliczających diabły na główce szpilki. A jednak ta debata jest fascynująca. A najciekawszy jest bez wątpienia esej Dawida Machaja *Milites Christi czy pospolici złoczyńcy?*

Kiedy w drugiej połowie XVI wieku wybuchły w Krakowie co rusz pogromy ewangelików, jasne było, że nakręcają je studenci wszechnicy Jagiellońskiej. Ale jak się zaczęło?

Oto w chwili ucieczki króla Henryka Walezego i nieobecności szlachty zajętej popisami wojskowymi poza Krakowem, w mieście wybuchły zamieszki. A zaczęło się od zaślubin odbywających się w zborze. Kiedy błogosławiono młodej parze „w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego”, student, niejaki Orzechowski, wykrzyknął: „Czemu Najświętszą Panią opuszczasz?!” i oczywiście został spoliczkowany przez kogoś z obecnych. Sprawa była ustawiona, bo pod zbrojem czekali znajomi studenta, którzy ruszyli z odsieczą i świątynię zniszczyli. Do akcji przyłączył się też plebs, który zaczął rabować, co się dało.

Później kardynał Hozjusz w liście do jednego z wojewodów z zachwytem nazywał pałkarzy imieniem *Milites Christi*, czyli Żołnierzami Chrystusa.

I czy kogoś dziwi, że choć sprawy przed sądem stanęły, nikt nie został skazany. (wb)

Reformacja W Krakowie (XVI-XVII wiek), materiały z sesji naukowej (pod red. Zdzisława Nogi), Towarzystwo Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, Kraków 2018.

Czy dziad Stanisława Moniuszki, sędzia wojskowy Wielkiego Księstwa Litewskiego, jeden z najzamożniejszych na Litwie obywateli ziemskich, był pierwowzorem Miecznika w *Strasnym dworze*? Jaki tekst, po ingerencjach cenzora, śpiewał tenże Miecznik w swej słynnej arii *Kto z mych dziewczek serce której...?* Jakie dekoracje oprawiły 28 września 1865 roku w warszawskim Teatrze Wielkim premierę najbardziej polskiej z wszystkich polskich oper i w jakich strojach wystąpili protagoniści? Co łączyło arię Hanny z IV aktu opery z ideami wyznawanymi pół wieku później przez ukochane kobiety brygadiera Piłsudskiego? Słowem – czym był *Straszny dwór* w momencie swej premiery, jak jego symbolikę odczytywano przed 100 laty, a co mówi nam dziś, w 200. rocznicę urodzin jego twórcy?

Na te pytania – i wiele innych – odpowiada Jacek Kowalski w swej najnowszej książce, w której łączy rzetelny warsztat naukowy z umiejętnością gawędziarstwa. Na kanwie *Strasnego dworu* snuje arcyciekawą opowieść o atmosferze politycznej, społecznej i kulturalnej Królestwa Polskiego. Piękna strona graficzna stylizowanego na starość opasłego tomu cieszy oczy. To może być ozdoba najbardziej wysmakowanego księgozbioru. (aw)

Jacek Kowalski, *Straszny dwór, czyli sarmackie korzenie Niepodległej*, PIW, Warszawa 2018.

25
LAT

Ray Cooney

MAWIAW

- ★ Blisko 1700 spektakli
- ★ Ponad pół miliona widzów
- ★ 4250 godzin śmiechu

www.bagatela.pl

rezerwacja tel. 12 422 66 77

www.teatr.pl



Tischner po raz dziewiętnasty

Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Od lat przełom marca i kwietnia to w Krakowie czas, by przypomnieć sobie myśl ks. Józefa Tischnera. Myśl związanego z miastem filozofa i duszpasterza „Solidarności” do dziś inspiruje dialog i skłania do namysłu, a organizowane przez UJ, AST, Uniwersytet Papieski i wydawnictwo Znak wydarzenia co roku przypominają o tym, jak ważny w debacie publicznej jest dialog. Tegoroczna edycja nie obyła się bez kontrowersji. Rozpoczynając Dni Tischnerowskie mszę poświęconą pamięci księdza Profesora zwyczajowo odprawiał metropolita krakowski. Jednak arcybiskup Marek Jędraszewski odwołał swój udział po publikacji nazwisk tegorocznych laureatów Nagrody Tischnera...

Nagroda, którą do tej pory przyznano między innymi Janinie Ochojskiej, Ryszardowi Kapuścińskiemu czy s. Małgorzacie Chmielewskiej, w tym roku jury (ks. Adam Boniecki – przewodniczący, Witold Dudziński, Jacek Karnowski, abp Grzegorz Ryś, Władysław Stróżewski, Piotr M. Śliwicki, Łukasz Tischner, Karolina Wigura, Henryk Woźniakowski) uhonorowało:

- w kategorii pisarstwa religijnego lub filozoficznego, stanowiącego kontynuację „myślenia według wartości” – o. Ludwika Wiśniewskiego za książkę *Nigdy nie układaj się ze złem. Pięćdziesiąt lat zmagania o Kościół i Polskę*;

- w kategorii publicystyki lub eseistyki na tematy społeczne, która uczy Polaków przyjmować „nieszczęsny dar wolności” – Łukasza Garbala za książkę *Jan Józef Lipski. Biografia źródłowa*;

- w kategorii inicjatyw duszpasterskich i społecznych, współtworzących „polski kształt dialogu Kościoła i świata” – Lidii Niedźwiedzka-Owsiak i Jerzego Owsiaka. Jury przyznało im nagrodę za działalność w ramach Fundacji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

W debacie prowadzonej pod hasłem „Człowiek. Nowe wyzwania” wzięli udział nagrodzeni oraz ks. Adam Boniecki i Henryk Woźniakowski (prezes Znak).

- W nas wszystkich jest tyle dobra. Niech nas tylko nie ciągnie do focha. Nie daj Boże, abyśmy byli tacy sami. Nie przekazujemy focha dalej. Jesteśmy fajnym narodem. I żadne chore kolana nam w tym nie przeszkodzą – mówił w czasie gali wręczenia nagród Jerzy Owsiak.

Na zdjęciu: o. Ludwik Wiśniewski i Jerzy Owsiak

(pk)



Grzegorz Stec
Wąż krzyku III, olej na płótnie, 100 x 140 cm, 2015

■ Kinowa telenowela

Kino Ars nie otworzy się jednak w Okrągłaku na placu Nowym – taka jest obecna sytuacja kina studyjnego, które przez lata było sukcesorem najstarszego krakowskiego kina Sztuka. Ze swoją pierwotną, historyczną lokalizacją przy ul. św. Jana Ars pożegnał się z początkiem stycznia, po decyzji nowego właściciela, by całą kamienicę przekształcić w hotel. Właściciele kina najpierw dogadywali się z właścicielem kamienicy, by wrócić do historycznej sali Sztuki po remoncie, po fiasku rozmów ze smutkiem ogłosili koniec projektu (na co krakowianie w grudniu zareagowali falą protestów wzywających miasto do podjęcia działań ratunkowych), by ostatecznie z dumą ogłosić, że udało się usiąść do rozmów z zarządcą kazimierskiego Okrągłaka: kino miało już wiosną tego roku otworzyć się na nowo w miejscu funkcjonującej tam przed laty rzeźni. Miało. Prezes zarządu Ars Ludmiła Kucharczyk ogłosiła właśnie, że zarządca targowiska przy placu Nowym zerwał negocjacje. To prawdopodobnie nie ostatni raz, gdy słyszymy o kinie Ars, jego przyszłość rysuje się jednak w coraz mroczniejszych barwach. W międzyczasie rada miasta przeznaczyła z budżetu 100 tys. zł na działalność krakowskich kin studyjnych. Po zamknięciu Ars pozostało ich sześć: Kino Pod Baranami, Mikro, Agrafka, KiKa, Paradox i Sfinx.

■ Wielkanoc po włosku

Misteria Paschalia to krakowska impreza rozpoznawalna na całym świecie. Choć muzyka dawna może być uznawana za niszę nisz, to w okresie Wielkiego Tygodnia oczy wszystkich fanów oraz specjalistów od tego gatunku zwrócone są właśnie na Kraków. Od pierwszej edycji w 2004 roku festiwal z roku na rok rozrasta się, zyskując na zasięgu i rozmachu, od kilku lat będąc najważniejszym artystycznym wydarzeniem okresu Wielkiego Tygodnia w Polsce. W 2017 roku zmieniła się koncepcja festiwalu tak, że kolejne edycje prezentują muzykę dawną z różnych zakątków Europy: prezentowany był już program francuski i angielski, w tym roku przyszła zaś kolej na Włochy. Artystyczną pieczę nad tegoroczną odsłoną Misteriów sprawował Antonio Florio wraz z zespołem Cappella Neapolitana, a słuchacze mogli powrócić do źródeł, czyli utworów pasyjnych oraz liturgii godzin,

jak również posłuchać wielkiego dzieła barokowego kompozytora Gaetana Veneziana *La Passione secondo Giovanni*.

■ Planeta Lem

Powoli powstaje w Krakowie miejsce, gdzie każdy, kto kocha kulturę, będzie chciał lądować.

Przypomnijmy – na Zabłociu, na terenie dawnego Składu Solnego przy ul. Na Zjeździe 8, powstaje wielofunkcyjne centrum literackie o nazwie Centrum Literatury i Języka – Planeta Lem. To miejsce idealne do debat, promujące książkę i czytelnictwo, budujące nowe relacje miejskie.

W marcu zakończył się kolejny etap przygotowań. Krakowskie Biuro Festiwalowe oraz Stowarzyszenie Architektów Polskich Oddział Kraków zakończyło prezentację nagrodzonych i wyróżnionych prac autorskich oraz przeprowadziło publiczną dyskusję z autorami tychże prac.

A teraz nie możemy się doczekać kolejnych debat – w jakim kierunku ma iść koncepcja ideowa Centrum – wszak powstanie dopiero za około trzy lata i do tego czasu wiele może się zmienić.

Może warto przeprowadzić naprawdę publiczną dyskusję?

■ Księgarnie, księgarunki

Przynajmniej jedną książkę w 2018 roku przeczytało 37 proc. Polaków – tak wynika z rocznego raportu przygotowywanego przez Bibliotekę Narodową. Fakt ten staje się co roku o tej porze powodem biadolenia opinii publicznej, lecz przez resztę roku niewiele się robi, by ten stan rzeczy zmienić. Tym bardziej należy doceniać tych, którzy na poprawę tego stanu rzeczy pracują. Przy okazji Światowego Dnia Książki w Krakowie odbył się Weekend Księgarni Kameralnych (25–28 kwietnia) obfitujący w wiele imprez związanych z propagowaniem czytelnictwa: spotkania autorskie, spacerki, koncerty, warsztaty, głośne czytania książek, prezentacje klubów książkowych czy animacji dla dzieci. W Krakowie w akcję zaangażowały się Księgarnia Pod Globusem, Spółdzielnia Ogniwio, De Revolutionibus Books&Cafe, Lokator, Antykwarjat Abecadło, Szafa Pełna Książek, Księgarnia Karakter i Główna Księgarnia Naukowa.

(pk)

Drodzy Czytelnicy!

W tym miesiącu mamy dla was kolejne pozycje książkowe do rozdania! Poświęconą długoletniemu redaktorowi naczelnemu „Tygodnika Powszechnego” książkę *Krąg Turowicza. Tygodnik, czasy, ludzie. 1945–1999*, album fotografii Krzysztofa Żyry *Przedwojenny krakowski Kazimierz* oraz dwa tytuły poświęcone polskiemu atletem: *Sławy polskiego sportu* oraz *Panteon polskiego sportu* wydane przez Polski Komitet Olimpijski.

Zainteresowanych prosimy o przysyłanie na adres e-mail redakcja@bi-

blioteka.krakow.pl wiadomości, w których wymienicie trzy przymiotniki najlepiej opisujące Kraków.

Jeżeli interesuje was konkretny tytuł, napiszcie to w wiadomości. Książki powędrują do pierwszych czterech osób, które wysłały wiadomość o wskazanej treści. Śledźcie nas też na Facebooku, gdzie pojawiać się będą kolejne konkursy. W tym miesiącu do wygrania będą tomiki poezji Ewy Lipskiej – laureatki tegorocznej nagrody Silesius: oczywiście z podpisami autorki.

(pk)

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

**Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”
Wybierz Kraków!**

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@miesiecznikkrakow.pl oraz redakcja@biblioteka.krakow.pl

www.miesiecznikkrakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Lesław Peters, Jan Pieszczachowicz (redaktor senior), Sylwia Pzyk, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński.

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych. **Layout:** Igor Banaszewski.

Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl.

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzeżenie prawa skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.



Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopisem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl, tel. 12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków, pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)
– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

Laur świętego



Na głównego patrona Krakowa święty Józef został wybrany w 1714 roku. Ówczesni rajcy wierzyli, że jego wstawiennictwo pomoże miastu podnieść się ze zniszczeń po najazdach obcych wojsk, a i odbudować populację zdziesiątkowaną epidemiami chorób zakaźnych. Obraz patrona w (nieistniejącym już) kościele Karmitów Bosych pod wezwaniem św. Michała i św. Józefa przy ul. Poselskiej stał się przedmiotem kultu mieszkańców (obecnie znajduje się w kościele tego zakonu przy ul. Rakowickiej).

Od kilku lat 19 marca – właśnie w imieniny Józefa – Małopolski Cech Rzemieślników i Przedsiębiorców Budowlanych oraz Małopolska

Izba Budowlanych przyznają medale im. św. Józefa. Pierwszym uhonorowanym był Jan Paweł II. Od tego czasu laur otrzymują corocznie dwie osoby: zasłużona dla organizacji oraz dla regionu.

W tym roku medalem wyróżnieni zostali mistrz ciesielstwa Marcin Jakubas „za wkład pracy w szkolenie uczniów w rzemiośle budowlanym” oraz wiceprezydent Krakowa Andrzej Kulig „za działalność i zaangażowanie w budowaniu samorządu gospodarczego rzemiosła” w Małopolsce.

„Kraków” składa gratulacje!
I życzy jeszcze więcej sukcesów. (kb)

Galeria Piotrka



W następnym numerze:



Medal za mądrość obywatelską dla Krystyny Jandy! – aktorki opowieść o trafianiu w czas

Dziedzictwo i wolność – konferencja krakowska i rocznica czerwca 1989

„Kraków” na Festiwalu Kryminału

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze, ... pragniemy na Pana ręce dla całej redakcji złożyć życzenia z okazji zbliżających się Świąt Wielkiej Nocy – zdrowia, zdrowia i jeszcze raz PIENIĘDZY, albowiem wiemy, jakich nakładów potrzeba na wydanie tak specyficznego pisma. Czego nam brakuje, to troszkę za mało muzyki (która łagodzi obyczaje).

Pozdrawiamy serdecznie
Alicja i Michał Florek

Piotr Błachut, nasz kolega i redakcyjny rysownik, właśnie otworzył w sklepie-kawiarence „Naturalny Sklepik” przy Krupniczej 9 galerię swych rysunków. A zaczął od przedstawienia obrazków, które trafiły na łamy naszego miesięcznika. Matjas, wino i sztuka = szczęście.

Zapraszamy i jesteśmy dumni!

Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A-B?
Boy

Okrągły Stół w magistracie

W magistracie powinna pojawić się replika Okrągłego Stołu – w ten sposób krakowscy radni chcą uczcić 30. rocznicę pierwszych częściowo wolnych wyborów w Polsce. – Chcemy oddać cześć tym, którzy 30 lat temu mieli odwagę zasiąść do obrad i rozpocząć proces pokojowej demokratyzacji kraju – tłumaczył jeden z pomysłodawców, radny klubu Koalicji Obywatelskiej Wojciech Krzysztonek. Dyskusja nad uchwałą była burzliwa. – Może zamówimy do stołu woskową figurę Kiszczaka? – ironizował radny PiS Michał Drewnicki. Projekt uchwały został ostatecznie przyjęty przez radę wynikiem 23 głosów za do 16 przeciw. O tym, czy Stół ostatecznie powstanie, zadecyduje teraz prezydent Majchrowski. Jeżeli wyrazi zgodę, replika zostanie oddana do użytku do końca bieżącego roku.

Akty zgorszenia

Wernisaż wystawy, a na wystawie obrazy obrócone tyłem do odbiorcy. Happening? Niestety nie: na taką formę cenzury zdecydował się Nałęczowski Ośrodek Kultury, w którym zorganizowana została wystawa studentek krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych *Sen we śnie*. Wystawa została ocenzurowana na prośbę odwiedzających Ośrodek rodziców, którzy uznali, że obrazy są „nieodpowiednie dla wieku ich pociech”. Wnioskujących zgorszyły trzy pokazywane na wystawie klasyczne akty.

Studentki o interwencji organizatora dowiedziały się dopiero na otwierającym wystawę wernisażu, kiedy ze zdumieniem zobaczyły, że ich prace zostały odwrócone. – Na pewno były tym zaskoczone, ponieważ gdy wysyłały obrazy do NOK-u, nie otrzymały żadnych uwag dotyczących ich formy. Nałęczowiański ośrodek tłumaczył się ze swojej decyzji „zobowiązaniem do respektowania wrażliwości wszystkich osób odwiedzających Dom Kultury”. Rodzicom gratulujemy przyzwoitości i zachęcamy do zawiązania Komitetu na Rzecz Zasłaniania Posągów Klasycystycznych



Rys. Małgorzata Tabaka

Nie dbać o bagaż, nie dbać o bilet...

Firma Renoma, która zajmuje się kontrolowaniem biletów w komunikacji miejskiej w Krakowie, przedstawiła dane dotyczące najbardziej zadłużonych gapowiczów. Firma ma pełne ręce roboty: w 2018 roku kontrolerzy z Renomy wystawili łącznie 70,6 tys. wezwań do zapłaty: oznacza to oszałamiającą liczbę 193 wypisanych mandatów dziennie! Jak się okazuje szczególnie często pasażerowie „zapominają” o bilecie w tramwajowych liniach nr 3 i 52, a także autobusach 304 i 139. Większość przyłapanych grzecznie płaci w ciągu tygodnia (w ten sposób zamiast 240 zł kary zapłaci się tylko połowę kwoty), jednak są i tacy, którzy nie planują nigdy uregulować należności. W takim przypadku naliczane są odsetki. Jak podaje Renoma, rekordzista jest winny miastu 34 tys. zł! Gdyby za te pieniądze gapowicz sprawił sobie bilety miesięczne, mógłby legalnie jeździć po Krakowie przez... 31 lat

Jubileuszowe zalesianie Huty

70 tys. drzew na 70-lecie: w ten sposób okrągłe urodziny Nowej Huty chce uczcić krakowska huta ArcelorMittal. – To wspaniały przykład, że odpowiedzialność za zalesianie miasta leży nie tylko po stronie urzędników, ale nas wszystkich, także firm działających w Krakowie – mówi zadowolony Łukasz Pawlik, zastępca dyrektora Zarządu Zieleni Miejskiej. Firma w ramach akcji zalesia 12-hektarową działkę położoną przy ulicy Branickiej. Pierwszych 70 dębów już zostało zasadzonych, a deklarowane 70 tys. sadzonek będzie sadzone wiosną i jesienią. Wśród sadzonek znajdziemy również lipy, graby i jawory – gatunki dopasowane do istniejącego ekosystemu.

Dziewczyńskie Centrum Mocy

Brzmi jak ośrodek dla superbohaterek? Nie jest to dalekie od prawdy! Swoje podwoje na nowohuckim osiedlu Centrum otworzyło miejsce, w którym każda dziewczyna znajdzie dla siebie przestrzeń. Dziewczyńskie Centrum Mocy stawia sobie za zadanie nauczać wszystkie panie wiary we własne siły, pewności siebie, szacunku i empatii. Centrum rozpoczęło działalność z szeroką ofertą warsztatów (m.in. teatralne, graficzne, ale i... żonglerki), lecz organizatorki chcą, aby DCM było przede wszystkim miejscem, gdzie każda dziewczyna będzie mogła porozmawiać o swoich problemach, znaleźć pomoc czy podzielić się doświadczeniami. Czy znajdzie się tam miejsce dla mężczyzny? – Oczywiście, oni też mogą być przecież feministami – przekonuje Linda Czerner, jedna z założycielek Centrum



Rys. Piotr Błachut

Powrót „Gwiazdnych najeźdźców”

Czy pamiętasz automaty do gier wideo? Na hasło „Pac-Man”, „Pong” albo „Space Invaders” kręci Ci się łezka w oku? Marcin Moszczyński ma do zaproponowania sentymentalną podróż. To za jego sprawą w Krakowie powstało Muzeum Gier Wideo – pierwsze takie miejsce w Polsce. Moszczyński od pięciu lat kolekcjonuje automaty, na których w latach 80. i 90. grało się w gry typu Arcade. Jak chwali się

twórca muzeum, jego kolekcja znajduje się w czołówce największych zbiorów tego typu w Europie. Znajdziemy tu wszystkie klasyczne gry gatunku: zaczynając od najsłynniejszego Pac-Mana, czyli głowy pożerającej kropki, poprzez symulatory rajdów samochodowych, na podświetlanych panelach symulujących taniec kończąc. Odżywają wspomnienia? Wybierz się koniecznie do Czyżyn!



Grzegorz Stec
Walka Jakuba z Aniołem, olej na płótnie, 140 x 140 cm, 1996

Klub przyjaciół miesięcznika KRAKÓW



Zofia Katarzyna Morstin Kraków	Piotr Maciukiewicz Kraków	Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk Kraków	Grzegorz Szymański Warszawa	Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś Kraków	Aleksander Skotnicki Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie Kraków	Beata i Wojciech Starowieyscy Kraków	Andrzej X. Kraków	Stanisław Dudzik Kraków	Adam Michnik Warszawa	Marek Borkowski Kraków
Janusz Szerła Kraków	Grzegorz Kogut Kraków	Robert Barański Kraków	Józef Palinka Warszawa	Krzysztof Kołtun Chełm	Marek Braun Kraków
Krystyna Zachwatowicz Kraków	Wanda Chmielowska Kraków	Aleksander Herzog Warszawa	Marta i Grzegorz Kondrasiuk Lublin	Jacek Purchla Kraków	Gwidon Dziwoki Kraków
Artur Wolski Warszawa	Lidia Hanusiak Kraków	Tomasz Janowski Kraków	Halina i Leszek Domańscy Kraków	Katarzyna Janowska Warszawa	Anna i Tadeusz Buczek Katowice
Kazimierz Sumera Zawoja	Andrzej Gaworski Warszawa	Józef Opalski Kraków			

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwa miesiące 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uniikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Jesteś wart tyle, ile twój ostatni mecz

Tekst: Jerzy Pilch

To prądawne prawidło zna każdy kibic, każdy trener i każdy piłkarz jak szeroki i długi jest stadion. Każdy kibic, każdy trener i każdy piłkarz świata prócz kibiców, trenerów i piłkarzy – polskiej Ekstraklasy. Zabobon jest wystarczająco dotkliwy i i paraliżujący, by przynajmniej niekiedy próbować go obalić.

Od Bułgarskiej przez Łazienkowską do Kałuży słychać: „Mamy czyste głowy”. (Może za czyste?). „Musimy się odciąć od ostatniej porażki”, „Skupiamy się na kolejnym spotkaniu”, „Życie toczy się dalej”, tak jest, polską piłką rządzi hasło: „Jesteś wart tyle, ile mecz, którego jeszcze nie zagrałeś”, ergo jesteś wart tyle, ile myślisz, że jesteś wart. Żadne dystansowanie, odcinanie, czyszczenie głowy nie zadziała tak jak wysokobudżetowa projekcja wyobraźni – ja jako zdobywca decydującej bramki, ja jako egzekutor karnego, ja i moja chirurgiczna asysta. Polacy jako wybitni futuryści poszukujący nadziei dla gatunku ludzkiego? Odcieśliśmy się od widmowych cieni nostalgicznej i wielkiej husarii? Nie sądzę. A nawet wątpię.

Patrzenie przed siebie wyciągnęło Czaczię na czwarte miejsce, jest 30 marca, sobotni wieczór, tabela może się jutro zmienić, ale mniejsza o to, teraz sycimy się słodką czwórka jak wielką Milką z jasnym nadzieiem i herbatnikami.

Przewrotność polskiej piłki pokazuje też obecność, a raczej nieobecność Nawałki w Lechu, jak i stan naszej reprezentacji. Między sytuacją Lecha Poznań i naszej reprezentacji widzę pewną analogię.

Nawałka wchodzi do Lecha z wielkim hukiem i nie zmienia składu.

Brzęczek staje się trenerem reprezentacji i w zasadzie nie zmienia składu.

Kibice Lecha widzą brak efektów. Kibice/wszyscy Polacy przed telewizorami oglądają naszych z Austrią i Łotwą – skład podobny, mundialowe błędy jakby żywe.

Odważnych decyzji brak – w Lechu aż się prosi postawić na młodych, w reprezentacji

czuć rosnącą potrzebę zmiany kapitana. Czy muszę dodawać, że jeszcze do niedawna Piątek zaczynał mecze z ławy – no tak, to logiczne, jak facet *aka pistolero* ładuje gol za golem w Mediolanie, słuszne jest oddawanie minut jego starszym kolegom. Niechże się wybiegają.

Za dziesięć minut rozpoczyna się mecz Korona-Lech. „Z pewnością w tym aspekcie jest to bardzo ważne, abyśmy byli drużyną” – mówi Nawałka w rozmowie przedmeczowej i trzykrotnie używa terminu – zarządzanie kryzysem. Fakt ten odnotowuję z uśmiechem i pozostawiam bez komentarza dla uśmiechu czytelników.

Niedziela, 31 marca

Według wielu Polaków narodową cechą Polaków jest męczeńskie taplanie się w porażce innych Polaków. Adam Nawałka został dziś rano odwołany z funkcji trenera Kolejorza. Można powiedzieć, że kryzys został zarządzony, tym samym opanowany, złościwości na bok. Tym większe *chapeau bas* dla prezesa Filipiaka. Stabilność równa się sukces. Jesteś wart tyle, ile cierpliwości władze klubu mają dla twojego trenera. Oczywiście cierpliwość jest doskonałym pomiarem sukcesu. I na odwrót. A ponieważ poza raczkującymi nikt sukcesu nie ma – jest jak jest.



Jerzy Pilch – pisarz, felietonista i kibic.



NATURA W SZTUCE

26.4–29.9.2019

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK
UL. LIPOWA 4, WWW.MOCAK.PL

MIĘDZYNARODOWA
WYSTAWA PONAD
70 ARTYSTÓW

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA



Grzegorz STEC
Głód, olej na płótnie, 70 x 100 cm, 2010